

# WIEŚ

tygodnik społeczno-literacki

Rok VIII

Warszawa, dn. 30. XII. 1951 r.

Nr 52 (334)

STANISŁAW CIEŚLAK

## W ROKU 1951

**K**ILKA tylko dni dzieli nas od końca drugiego roku, decydującego o całości planu naszej szesnastolatki. Rok ogromnych, nie tylko ilościowych, ale i jakościowych przemian w życiu naszego narodu, a więc i trudności, które nieuchronnie towarzyszą rodzeniu się NOWEGO ZYCIA.

Przenieśmy się myślą na południowo-wschodni obszar Polski, do woj. rzeszowskiego, przed wojną „klasycznego” niemal przykładu nędzy i zacofania. Tam, gdzie przed wojną pracowało w przemyśle ok. 20 tysięcy robotników, gdzie 75 proc. gospodarstw chłopskich nie posiadało zboża w ilości wystarczającej dla wyżywienia rodziny w ciągu roku, gdzie budowano rocznie ok. 600 izb mieszkalnych w miastach i 30 km dróg o twardej nawierzchni...

W r. 1951 ruszyło w rzeszowskim dziesięć nowych zakładów przemysłu wielkiego i średniego, dwadzieścia sześć nowych zakładów przemysłowych oddano w stanie surowym, do pracy w zakładach pozarolniczych odpylnięto z rolnictwa 50 tysięcy osób, wybudowano 354 km nowych dróg o twardej nawierzchni, 3520 nowych a 8500 gruntownie wyremontowanych izb mieszkalnych.

Czy tylko w woj. rzeszowskim? Przecież w roku 1951 w całym kraju milion robotników (trzecia część wszystkich robotników w Polsce!) było zatrudnionych przy wykonaniu dawniej rozpoczętych lub stopniowo w tym roku od fundamentów wznoszonych ponad 150 nowych, wielkich zakładów przemysłowych i 550 nowych przy nich osiedli mieszkaniowych.

Wielki plan uprzemysłowienia naszego kraju, zapowiedziany w r. 1949 a przygotowywany starannie w r. 1950, w roku 1951 staje się już rzeczywistością.

W marcu Starachowice rozpoczynają taśmową produkcję samochodów „Star 20”, w sierpniu ruszył nowy piec hutniczy „B” w hucie Kociuszkowa, czołowa inwestycja roku 1951, rozpoczyna pracę wielka stalownia huty „Częstochowa”, kombinat tuczyszowy w Brzegu, nowa fabryka kwasu siarkowego w Wiozowie. Wrzesień — pierwszy kombinat węglowy polskiej produkcji wykonany w Polsce (Fabryka Maszyn Górniczych) rozpoczął pracę w kopalni „Zabrze-Wschód”, rusza wielka cementownia w Wierzbicy, elektrownia wodna w Dychowie, październik — do kampanii 1951 roku staje nowa cukrownia Sokołów, rozpoczyna pracę wielki kombinat włókienniczy w Piotrkowie, listopad — polski samochód osobowy „M 20 — Warszawa” opuszcza hale FSO na Zeranu a Lubelska Fabryka Samochodów rozpoczyna pełną produkcję samochodów ciężarowych.

Ta nowa rzeczywistość naciera na nas. Żąda w nowych warunkach ekonomiczno-technicznych nowego stosunku do pracy, nowego stosunku do życia tym mocniej, im bliżej związani jesteśmy z produkcją. Właśnie dlatego rękawic Morys z kopalni „Kleofas” wykonał już swe zadania wydobywcze przewidziane na pierwsze cztery lata Planu 6-letniego, a brygada Wojcicka, drążąca nowe chodniki kopalni im. Piłsudskiego go wykonuje już plan trzeciego roku szesnastolatki, właśnie dlatego w Kieleckich Zakładach Wyrobów Metalowych brygada ZMP: Dawidowicza, Augustyna, Kobyleckiego, Szaryńskiego i Chojnackiego — przegoniły kalendarz, są w toku wykonywania planów produkcyjnych i półroczna 1952 roku. Takich jak oni jest już tysiące i dziesiątki tysięcy.

Ten rozmach socjalistycznego uprzemysłowienia zakotłosał w roku 1951 i wsią.

Porwał do szkół zawodowych, średnich ogólnokształcących i na wyższe uczelnie setki tysięcy chłopów i dziewcząt, wyciągnął ze wsi prawie pół miliona, głównie małorolnych, do pracy w zakładach pozarolniczych, poruszył do głębi wielką jesienną ofensywę skupu i kontraktacji niasy średniorolnych, zakonanych w swych gospodarstwach, zdejmował przyuczonych kulaków, odsłaniając ich sojusze ze spekulantami w miastach, sojusze zwrócić swym ostrzem przeciw sojusznikom robotników i chłopów pracujących, obnażył w całej pełni dywersyjny, przeciw podstawowym interesom narodu polskiego, skierowany charakter planów i propagandy międzynarodowego kapitału.

Stanęły w r. 1951 przed chłopstwem pracującym, a zwłaszcza przed chłopami średniorolnymi pod-

stawowe, proste, a jakże wymownie nową gospodarkę ludową charakteryzujące, pytania:

Dlaczego przed wojną przy 35 milionach ludności półtora miliona ton zboża, oddawanego na rynek w formie (głodowej dla małorolnych, zyskowej dla obszarników i kulaków) nadwyżki towarowej rolnictwa, było aż tak „za dużo”, że trzecia część tego „trzeba” było wywozić za granicę? A dziś przy 25 milionach ludności dwa i pół miliona ton wcale nie jest za dużo i wzywa się chłopów do dalszego zwiększania wydajności zboż w r. 1952 co najmniej o 1 q z ha, kiedy nie wywozimy ani jednego ziarnka za granicę.

Dlaczego przed wojną — przy 29,4 sztuk trzody chlewnej i 41,2 sztuk bydła na 100 ha użytków rolnych była pozorna obfitość mięsa w miastach, a dziś przy ok. 37 sztukach trzody chlewnej i 35 sztukach bydła rogatego na 100 ha użytków rolnych, przy liczbie ludności prawie o jedną trzecią mniejszej, miasta nasze odczuwają brak mięsa?

Dlaczego, jeśli nie zwiększymy do r. 1955 produkcji roślinnej o jedną trzecią (to znaczy o ok. 18 milionów ton ziemiopłodów, a więc o ilość, dla której przewiezienia nie wystarcząby trzecia część floty handlowej wszystkich państw świata!), jeśli nie zwiększymy hodowli o dwie trzecie, w tym ilości bydła do 46 sztuk, a ilości trzody chlewnej co najmniej do 50 sztuk na każde 100 ha użytków rolnych — to groziłyby krajowi jeszcze ostrzejszy niż dzisiaj ucasy artykułów żywnościowych?

Propaganda zewnętrznych i wewnętrznych wrogów klasowych, sugerująca wywoz żywności z Polski za granicę jako główne źródło trudności aprowizacyjnych kraju, zbyt jest kłamliwa w świetle widocznego dla wszystkich przywozu ziemniaków, mięsa wołowego, pasz treściwych i t. p. z zaprzyjaźnionych krajów demokracji ludowej, aby mogła dać na to odpowiedź.

Prawdziwa odpowiedź na te podstawowe pytania, zachaczające o codzienną, najbardziej bliską kaźdemu chłopu pracującemu jego osiadłość produkcyjną, a sięgające do istoty nowej, ku socjalizmowi zdążającej gospodarki polskiej — postawi przed masami chłopów pracujących przedzie czy później sprawę nowej, zespolonej organizacji gospodarki rolnej, bo inaczej opóźnienie się rolnictwa za rozwojem przemysłu, które dziś stało się tak dokuczliwe tymczasem tylko dla miast, obróciło się w szybką przeciwną: zatrzymując odpływ do zajęć pozarolniczych, hamując możliwość awansu społecznego młodzieży, opóźniając a nawet uniemożliwiając stały i szybki wzrost dobrobytu, oświaty i kultury pracującego chłopstwa w Polsce.

Cisną te pytania (domagając się nie tylko odpowiedzi ale i załatwienia) na cały nasz przesyłał po milionowy aktywny polityczny, gospodarczy, społeczny i kulturalny, pracujący w pow.atach, gminach, gromadach w bezpośredniej łączności z masami pracującego chłopstwa.

Naciskają te pytania zwłaszcza na ponad 95 tysięcy robotniczych i chłopich działaczy terenowych rad narodowych, na setki tysięcy robotników i chłopów członków wszelkiego rodzaju komisji, zespołów, narad, ogromadających się coraz liczniej wokół terenowych rad narodowych i ich prezydiów.

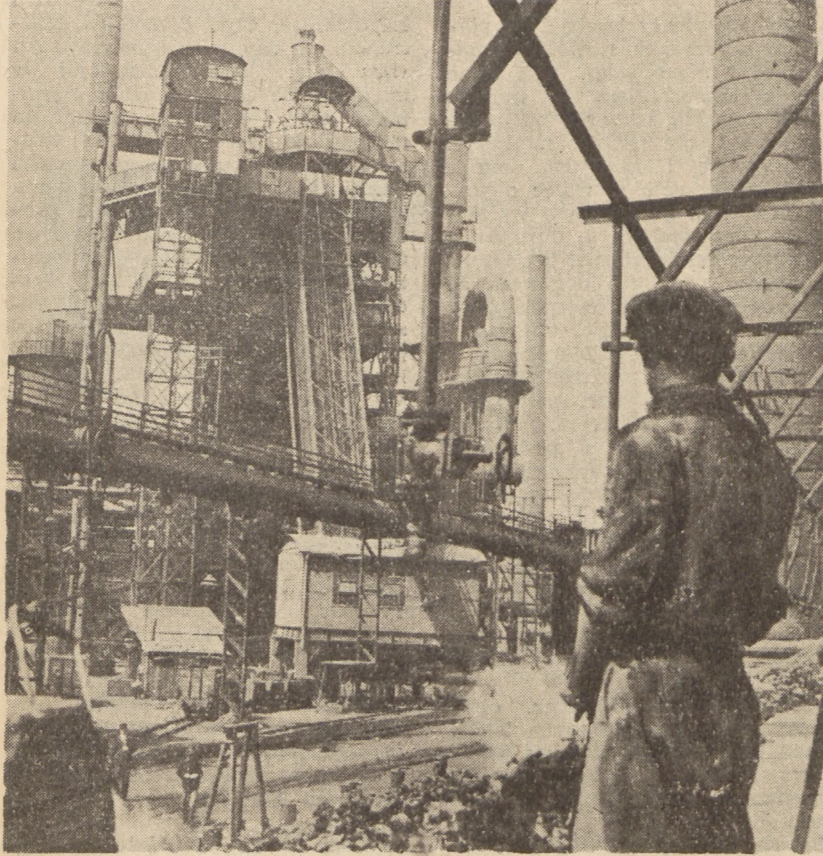
Takie to zagadnienia w r. 1951 — nie tylko w ujęciu teoretycznym — stanęły na wszelkiego typu masowych naradach, zebraniach i zjazdach chłopich, zorganizowanych z inicjatywą partii.

Postawił te zagadnienia przed chłopami pracującymi mocno i dobitnie rynek wewnętrzny, wolny na zawsze od kryzysów nadprodukcji i klęsk urzędzaju, nienasycony w swej chłonności nowy rynek wewnętrzny o uciążliwych cenach, gwarantujących wzrost dochodu przy każdym wzroście produkcji, przy każdym obniżeniu jej kosztów.

Argumenty tego rynku, poparte cierpliwa, codzienna, wytrwała praktyka wychowawcza i uświadomioną kłasy robotniczej i partii, posiadają ogromną siłę przekonującą.

I dlatego też myśląc o kończącym się już, niefortunym roku 1951, należy pamiętać, że nie tylko osiągnięcia tego roku, ale nawet i ostre trudności, które przeżyliśmy — stały się kolebkiem napędowym naszego dalszego rozwoju w kierunku socjalizmu. A to jest przy ocenie każdego z lat Planu 6-letniego przecież decydujące.

Stanisław Cieślak



JERZY MILLER

## NAD NARWIĄ

Janowi Koprowskiemu

Łąk nad Narwią zieleni się pas.  
Strzechy kryją chaty okoliczne.  
I róg wertepy. Czyżby amir czas  
jak bieg rzeki zamrożonej styczniem?  
Wszędzie graby, topole i wierzby,  
ówdzie ołcha w pobliżu mokradeł.  
Poła, kilometry lasów — rzeczy  
kraj żyjący poza jawd rozkładem.

Dla pewności zapytałem chłopca,  
który pod wiatr wypuszczal latawce  
— poco żyje? ów podmuchów łowca  
jakich pragnie wypełnienia zachęć?  
Czego później, już mężczyzna, chciałby:  
mórg, spichlerzy, po kulaczce spadku,  
dla pieniędzy sprzyśnięcia z diabła,  
być młynarzem, czy kępem na ostatku?

Wiatr podsyczał żar ogniska. Krowy  
rozwiły się jak dym po łące.  
Popatrzyłem na chłopca o płowych  
jak len włosach spalonych przez słońce.  
Jego bosa, rozbiegane stopy  
nieulekły się ścierniska szaceli  
Koszulina, latane porcieta  
w rękę pajda razowca i... zeszył.

Żadziwionym spojrział na mnie wzrokiem:  
— Kimżeś twórco nierozumnych pytań?  
Nietulejszy i pewnie przed rokiem  
po tulaczce do Polski zawitał? —  
Odgarniając z czoła lok niesforny  
nim odpowie — ogień skrzepi jeszcze  
wiązkę ostów, garstką zeszelej kory  
Chwałst zasyczy i drzewo zatrzesczy.

Przyrodnikiem chce stać się, odkrywca,  
rozwiązywać niewiadomych tysiąc  
i okiełzać naturalną, wilczą  
krew przyrody, kły i osty wyciąć!  
Twarz chłopięcą entuzjazm rumieni,  
oto jak się młodzież gospodarzy,  
nie o spadku, nie o furmanieniu  
jaśniepańskim powozem zamarzy!

Wstrętny jest dlań spór o ćwierci akra  
i nieznaną zachłanność borsucza,  
fetysz ziemi, posiadania sacra,  
która przeszłość jak kława obrzuca.  
Wyrzekł zdania chropawe, niezdarne  
z blaskiem w oczach zdradzającym siłę,  
pewność siebie, co to on ogarnie,  
kim się stanie, aż zaniemówił.

Widać dworek poza rzędem wierzb  
otoczony starodrzewia parkiem.  
Nagle widok zeszlowieczny pierzchł  
miast pochodni dojrzałem latarkę!  
Przyrodniczy gabinet we dworze,  
atlas roślin, książki i mikroskop.  
Wszedło ziarno na pańskim ugorze.  
Twój, Ściegienny — spełnił się horoskop.

Jeszcze wczoraj dywersyjna, groźna,  
wieloletnią znękana chorobą,  
wsł podlaska, równinna, bezdrożna  
rozkład jazdy twą martwością objął.  
I pogania Narwi nurt leniwy,  
w oczach chłopca niebieskich goreje.  
Patrzę — chłopiec do słońca się śmieje  
Inny Janko Muzykant — szczęśliwy!

WOJCIECH DRYGAS

## Nowy folklor

**W**IELKI jarmark w tygodniu przedświątecznym przed wojną był zawsze dla Sieradza wydarzeniem epokowym. Liche szkapiny biedniaków i karmione owsem walczy kulaczki z trudem przebijaly się przez ciżbę kolorowych welniaków, krasnych chust i maciejówek, ciągnących wąskimi uliczkami na rynek. Zatory z wozów i furmanek chłopskich sprawnie likwidowali zapasionymi zadami swych koni dwaj policjanci. Byli uzbrojeni w palki gumowe i ściśle przepisy postępowania. Ich konie dosięgły ponoć szczytu mądrości, już sam sposób poruszania się wśród tłumy ludzkiego mówił o atagoletnim otrząskaniu z dyscypliną komisariatu. Na cichy rozkaz „wejta” — wykonywały gwałtowny zwrot, wykrętnik „uśta” — odrywał tylne kopyta od ziemi i wbił się w najbliższą stojącą furmankę. Wtedy w uliczce robiło się przestronniej, a chłopca urągającego władzy, odprowadzano na komisariat.

Były to zresztą zbyt drobne nieporozumienia, aby mogły zaprzętać uwagę gapiów dłużej, niż na kilka minut. Z rynku wzywała hataśiwiwe taktami pruskiego marsza katarynka — nie do taktu, a na melodię „gorękich żali” płynęła z gardzieli kataryniarza rzewna piosenka.

„Uderz panna papugę w ogonek,  
A wyskoczy ci złoty pierścionek,  
Maty czy duży —  
Każdemu jednako służę!”

Opodal konkurencja w osobie chudej tyżki wykrzykiwała bez melodii, lecz za to w rytmie:  
„Ile się namęczym,  
ile się natrudzim,  
koszulę zmienim,  
kolnierzyk zbrudzim,  
a krawata nie zawiążem!  
A tu taka oftonoła  
do wiazania krawata —  
za jedne jedyne 50 groszy!”

A jeszcze dalej na rozstaniach stoliczek i stolicek cudowny eliksir na porost włosów („dla chłopaka i dziewczyny — jeliksir na łysinę!”).



Pot. Maciejewski

złote butelczki z kropelkami św. Wincentego na ból zębów („...a jak pacierz nie pomoże — ból zęba kropelka zmoże!”) i wiele innych atrakcyjnych wynalazków XX wieku, co to aż z samej „Ameryki przywołowali, aby ludziom dobrze poczynało...”

Nie jedyna była to plaga sieradzkiego jarmarku w latach międzywojennych. Obok niego tłum wydrwigroszów w nieodownym kostiumie żebraczych lachmanów. Zebraczy sieradcy z twarzami uduchowionych światków byli to wielcy artyści w swoim zawodzie. Żadna chłopka nie rozwinęła na targowisku kobiałki z masłem, twarożkiem i jajkami, zanim nie uzyskała błogosłowieństwa oczajduszy o ekstatycznym wejściu, błagającym w chmurach. Błogosławieństwo takie kosztowało 20 gr. i dawało gwarancję, że zbyt późnie w tym dniu dobrze.

Minęliśmy dopiero przedpole jarmarku. Właściwe targowisko zaczynało się od linii straganów. Do późnych godzin przedpołudnia handlarze i różnego autoramentu przekupnie pozicali w swych budach i przytopywali dla rozgrzewki nogami. Interes nie szedł. Towar był — klient nie przychodził. W tym czasie „życie handlowe” koncentrowało się na przerysach — po drugiej stronie placu. Tutaj taksonowo świńtaka, przyklepywano „na zgodę” cielańka, wykłócano się o chudą kure, „panusie” z miasta targowaty się zawzięcie o każdy grosz na jajku, o każde dziesięć groszy na tłustej gęsi.

Sprzedać swój towar z minimalnym zyskiem — to także był sztuka. A wypadło często i gęsto sprzedać z poważną stratą, aby nie wrócić do

domu bez potrzebnej rzeczy. Stragany wyciskały z chłopów — jak to się mówiło — ostatnią kroplę krwi. „Nożyce cen” cięły bez litości przy akompaniamencie wrzasku straganierek, przekonujących ze łzami w oczach, że towar sprzedają z litości — bez najmniejszego zarobku.

Stragany jarmarczne były właśnie od tego, aby przemycić na wieś wszelką wybrakowaną tandetę.

\*  
Inna atmosfera panuje dziś na przedświątecznym targowisku sieradzkiem. Zorganizowały go PZGS i



gminne spółdzielnie. Kształtuje się nowa tradycja handlu — handlu socjalistycznego, kształtuje się zgoda odmienny folklor okresu dyktatury proletariatu. Ten tyj handlu stoiskowego staje się „głównym” składnikiem społeczno-obyczajowym naszego życia prowincjonalnego.

Zniknęły bezpowrotnie nieodowne akcesoria sanacji: bractwo żebraczy, stoliki i stolicek, wydrwigrosze, pruskie marsze katarynek z papugami. Ich miejsce zajęły głośniki miejscowego radiowozu, bar mleczny, ruchome stoisko gospody ludowej z obszernym parkietem, na którym chętni, a skorzy do tańca chłopcy i dziewczęta, mogą sobie do woli pohasać.

Cóż jeszcze technicznie nowością? Okazuje się, że chłop nie przyjeżdża na dzisiejszy jarmark do Sieradza, żeby sprzedać, lecz po to tylko — aby kupować. Produkty rolne zbyt po stałych i opłacalnych cenach w ramach wielkich akcji gospodarczych skupu państwowego w GS-ach — portfel cięży pieniędzmi. Uderza olbrzymie wzrastanie jego potrzeb.

Przypatrmy się straganom, stojącym kilkadziesiąt, są to stoiska gminnych spółdzielni. Co chłop kupuje? Kupuje dostownie wszystko. Największy ruch panuje przed straganami z odzieżą zimową, męską, kobiecą i dziecięcą. Zbyt mają płaszczki, kurtki, garnitury, suknie. Samej tylko konfekcji męskiej i kobiecej stoisko targowe gminnych spółdzielni z Bartochowa, Bogumilowic i Wierzech sprzedają w jednym dniu za sumę 150 tys. zł.

Niemniejszym powodzeniem cieszą się wyroby żelazne, wyłożone w poważnych ilościach na straganach gminnej spółdzielni z Burzemina. A oto kilka godzin sprzedano 2.600 wader cynkowych, tysiąc różnych garnków emaliowanych, 2 tony garnków żelaznych i 5 ton gwoździ.

Przy stolikach gminnych spółdzielni z Zadziemia, Majaczewic i Gruszyc, sprzedających artykuły tekstylne — przeważają kobiety. Dużym popylem cieszy się popularny materiał „cagowaty” i „kortowaty”, chętnie nabywane są lepsze gatunki tkanin wełnianych na suknie oraz garnitury i płaszczki męskie.

Wielki zbyt mają tanie buty robocze i gumowe, ale sprzedaż obuwia luksusowego liczy się też co najmniej w setkach par.

Chłopi z Chartwici, Wróblewa i Monic, którym państwo zelektryfikowało w tym roku gromady, kupują sprzęt elektrotechniczny, grzejniki, żelazka elektryczne oraz lampy wiszące i stojące. Bez targów, bez rozdzierania szat — ceny są przeciętne stale.

I tutaj właśnie wpada nam przypadek w ucho rozmowa prowadzona między dwoma gospodyniami:

— „Czego się sąsiadka tak rozpycha?”

— „Chcę kupić żelazko elektryczne...”

— „Żelazko elektryczne? Przecież się z Chróścic, a w Chróścicach nie ma elektryki?”

— „Nie ma, ale będzie... robotnicy mówili!”

Wojciech Drygas



JAN ALEKSANDER KRÓL

# NOTATKI Z POWIATU DZIAŁDOWSKIEGO



Fot. Maciejewski

## KRAJOBRAZ, UWAGI OGÓLNE I PIERWSZE OBLICZENIA

WJECHALIŚMY w powiat działdowski. Były to ostatnie dni listopada. Powiat też był ostatni w skupie zboża i w splatach należności. A krajobraz? Najpierw równiny jeszcze jakby mazowieckie, potem pagórki, fałdujące teren w olczyński kraj nieck, jezior i lasów. Po prawdzie, jezior wzdłuż drogi wiele nie napotkali i na oko — widać by je można za stawy, lasy też nie podchodziły blisko. Ale o lasach słyszałem dużo. Mówiono mi w Działdowie, w Powiatowej Radzie — ho, ho, stara to u nas tradycja dorobków i kapitalizacji chłopskiej te lasy. Gdzie indziej podkoczyl średniak na kulaka przez maszynę pólparową, przez przesowanie w mlecznar, na wójtostwie, u nas przez zwózkie drzewa z lasu. Dzięwicze się? Dwie, nawet trzy pary koni, dwa a daj Panie Boże trzy mocne wozy i w las. A z lasu i dziś jeszcze są tacy, co wywożą w roku 60 tys. zł. zarobku. Taką była u nas droga „pierwotnej akumulacji kapitału“.

W terenie dajcie baczenie na mnogość dużych gospodarstw, 20—30 hektarowych. Ziemi tyle, że je wżrokiem nie ogarnie, a w hektarach przeliczeniowych wypada o połowę mniej. Bo choć ziemia tu średnia, a nawet niemało lichej, ale i gospodarka z waszcia. Kochają się w koniach, bydło rozmazają na zapuszczonych wygonach i błoniach, ale w zbożowych mała kultura. Brak tu tradycji dobrej uprawy, brak walki o zdobywanie nowej ziemi, brak też ambicji, aby zboże uczynić towarowym, pchało się je zazwyczaj szeroką ręką w hodowlę, a konie, wóz i las miały lekko wyrównać zaniebana gospodarke.

Cóż zrebna było zobaczyć z drogi, choć zrebna byłaby szła wolno i rozważnie? W mijanych wsiach, owszem, rzucali się w oczy murańce, dom za domem, budowane z cegły, kryte dachówką. Prawdziwa zagadka w krainie lasów. Widąc cenią sobie mieszkania, bo rozumiałbym bogaczy, dla przepychu i okazałości. Ale średniacy i biedota też w małych domkach murowanych. Popuściłem cugle fantazji... jak u górali, sławnych z pięknych domostw i... z hodowli? Jak kochasz dom, to kochasz rodzinę i dbasz o nią? Coś z tych fantazji sprawdziło się w dalszej podróży. Trafiałem na przykłady wruszającej miłości córki i synów do swych matek-wdów. Hektar i domek, domek i ani pędzi ziemi, a w domku matka, do której syn albo córka wracają z pracy z radością nieklamana. Nie uwierzcie, obywatelom wioski jest tu posiadać z domku. Domki mają robotnicy, a jest ich niemało. Stawiają się byli formacie, dziś najczęstszym członkowie zespołów na PGR-ach. A jeśli jeszcze nie budują, to weszli do otwartych domostw średniaków. Taki dom pomieści sklep spółdzielczy, rodzinę gospodarza i pegerzystę.

Zrebna kobyła ciągnie wolno i rozważnie. Pola, domy i ludzie. Otóż tu nowa zagadka. Dziecko, pędróstek, dziewczyna, kawalerzaki i starzy chłopcy, wszyscy kłaniają się pędrótkiemu. Odkładam się szpakko, pilnując, żeby przy nowych okazjach był pierwszy, a nie udaje się.

No tak, murwane domki, czułe rodziny, grzeczni ludzie, a psiarzew w skupie zboża pćwiat jeden z ostatnich w kraju.

W Rybnie, w Gminnej Radzie Narodowej proszę o wykaz kategorii gospodarstw w każdej wsi. Oczywiście nie mają ogólnego zestawienia, które by wykazywało, ilu jest na gminie kulaków, średniaków i małorolnych. Szukaj osobno w tabelach każdej gromady a razem? Po co szukać, wiadomo, że dużo kulaków. Podliczyłem, teraz wiadomo ściśle 280 gospodarstw małorolnych, 240 średniaków i 110 kulaków. Bezrolnych, robotników i pracowników trzoda by wyciągać ze spisu ludności, ale przecież „wiadomo“, że ich dużo.

A teraz karta skupu i podatków. Przychodzi gromady Jeglia, Grabacz i Groszki, ostatnie: Rybno, Rumian, Truszczyny. Dlaczego? Znow się siadłem do przeliczeń.

Jeglia — 28 małoroln. — 27 śred. — 6 kulaków Grabacz — 13 małorolnych — 4 śred. — 2 kulaków. Groszki — 11 małoroln. — 20 średn. — 5 kulaków.

Te gromady produją, a teraz...  
Rybno — 76 małoroln. — 37 śred. — 24 kulaków. Rumian — 34 małoroln. — 32 średn. — 26 kulaków. Truszczyny — 24 małoroln. — 26 średn. — 17 kulaków.

Te gromady najbardziej zalegają. Jasne. Ale nie ma reguły bez wyjat-

ków. Wieś Dębien. Stoi wcale dobrze, szczególnie w podatkach, gorzej w skupie zboża. A układ klasowy? 16 małorolnych, 15 średn., 11 kulaków.

Pojedziemy do Dębienia. Murwane domy, kochające się rodziny, grzeczni ludzie... Zobaczymy...

## TACY, SIACY — KULACY

WYOBRAZIE sobie trzech kulaków przy jednym stole, trzydziestohektarowy, dwóch wywiązało się ze wszystkich zobowiązań, trzeci zalega. Popatrzcie na twarze. Oto najstarszy, Januszewski, siedemdziesięcioletni dziadyga. Mały, głowa, jak ususzone jabłuszko, poczciwy uśmiech, chłopina starej daty. Był przez dziesiątki lat sołtysiem. Po wojnie nawet radnym powiatowym, ale „przez te porządki klasowe“ przeprosili go i nawet lepiej, bo przecież już stary, tylko co do rzetelności — niesłusznie: sławny wszak był Dębien za jego sołtysostwa z najlepszego wywiązywania się w podatkach. On zawsze dopilnował. Obowiązki i prawo to święta rzecz. Teraz przez chwilę popatrzcie na drugiego kulaka. Wronski ma 60 lat, ale nie wygląda na tyle. Twarz pełna i nabita. Włóćcie mu na głowę pikielhaubę — junkier, włóćcie cylinder — bankier, nasadźcie rogi — siewiąjący diabeł. Powściąga ironiczny i zły uśmiech. Rozumie, co to znaczy być gorliwym sołtysiem przed wojną. Wtrąca — co tam Januszewski gada! Miał 12 rodzeństwa, ojciec wczesnie odumarł, to musieli całe życie harować i pilnować swego.

— A to swoim porządkiem. I jednemu i drugiemu porażdkiem. Ro trzeba panu wiedzieć — zwracał się do mnie Januszewski — że te 30 hektarów utrzymałem po ojcu, choć byłem w rodzinie 8 braci i 4 siostry. Pięciu braci i jedną siostrę wykerowałem na nauczycieli, tak się z nimi skwitowałem. 3 siostry wywianowałem na bogate gospodarstwa, jednemu brata hajda na adwokata, drugiemu pomogłem handlować, został kupcem, a trzeci rzemieślnik. 12 rodzeństwa skwitowałem. Ile to trwało lat? Ożeniłem się po czterdziestce. Wymowny rachunek Z 30-tu hektarów można było 12-tu osobom opłacić szkoły, synąć bogatym wianem, otworzyć handlowe interesy i nie uronić ani jednej pomorskiej morgi (4 mrg — 1 ha). Wronski znów błyska diabelskim okiem na starego gadułę. Za późno. Wziąłem z tej opowieści ośnowę do przemówienia, w którym dowiodłem im możliwości wydajnej produkcji, a więc łatwego dla nich wywiązania się z zobowiązań wobec państwa. W szczególności — podkreśliłem — możecie i powinniście rozszerzyć kontraktację. Januszewski wyskoczył w sprawie kontraktacji. 15 tuczników sprzedał w tym roku państwu, on zawsze, jak należy.

Tym razem (i na niego czekałem) karty odstąpił Wronski Schlebając i nie domawiając myśli do końca wycedził jednak, że za szybko buduje się u nas przemysł, wykrztusił, że rolnictwo to podstawa wszystkiego i wyraził żal, że świadczenia, skup i



Fot. E. Golaszewski

kontraktację nie pozwoliły mu zrobić się nowych 20 ha, a przecież przez 50 ha on i Januszewski, „dobrzy gospodarze“, ileżby dopier mogli dać państwu... Januszewski kiwnął głową a Wronski niespodziewanie zakonczył szyderczo: Wywiązaaliśmy się ze wszystkiego w tym roku, ale dlatego z hodowlą już ustaniemy na przyszły rok, nie damy rady.

— Nie dacie rady? A jakby wam obiecał 20 nowych hektarów w końcu Planu 6-letniego, to byście dali radę, co? Powiedzcie, jak sobie dacie radę, bo przecież pan Wronski, jak we wsi mówią, siadł tej jesieni nawet więcej, niż w ubiegłym roku i dopiero w listopadzie, teraz ma równą i bogatą ruń. Dobrze wykal-kulował.

Wronski już nic nie powiedział, zamknął się w pruskim uporze. Januszewski nie wytrzymał. Miał radę. — Zamówił sobie wagon wtyłków buraczanych, a w browarze kartoflanych. „U krewnych“ w drugim powiecie obiecał mu, gdy zajdzie potrzeba, odsprzedać zboża, „tam był lepszy, dwa razy lepszy urodzaj“.

A trzeci kulak? Ten milczał dotąd. Twarz miał mskularną jak kowale, włosy na niej, jak u kmieci średniowiecznych, duże niespokojne i zbójckie oczy, młodszy od Wronskiego o kilka lat. Czekał na swoją kolejkę. FOR-u jeszcze nie zapłacił, zboża oddał jedną czwartą. Nie może dać więcej. Płacił podatek od wojennego wzbogacenia. Żona mu umarła. Musiał otwierać testament (bo to jej majątek) i jeden procent zapłacić całej wartości gospodarki, córkę z pierwszego małżeństwa swej żony wywianował wg zapisu na hipotecę, padły mu wszystkie świnię, syn był w ubiegłym roku w SP, nie miał kto obrobić pola, córki toczą z nim wojnę, nie chcą pracować, a

tylko stroić się, syn grozi, że pójdzie w świat... Czy to jest sprawiedliwość robić mu zajęcie? Czy to jest sprawiedliwość? 3 konie, 2 krowy, 2 jałowice, 10 świń, 3 owce i setka gęsi i kaczek. A ile ukrytego zboża? Czy ten 31 hektarów może ukrywać zboże? Wronski taką opowiedział historijkę z ostatnich dni.

— Przychodzi do mnie Pacuski (ów trzeci kulak) pożycz, bo mam oddać bratu. Jak ci pożyczę, kiedyś już obiecał jednemu z tartaku. Ale czekaj, potrzebne są bratu na co pieniądze? Nie? To masz je, oddaj, w godzinę przyjdzie Januszewski, pożyczę je od twojego brata i zwróci mi, a ja dam temu w tartaku, bo mam interes.

— I pożyczę od jego brata — śmieje się dziadyga Januszewski, który był sołtysiem przez kilkadziesiąt lat i zbierał pieniądze podatkowe... być może w terminach wcześniejszych, a odnosił... w terminie akuratsnym...



Fot. E. Golaszewski

## DWAJ SEKRETARZE, CÓRKA ŚREDNIAKA I STOLARZ JANKOWSKI

SEKRETARZA Podstawowej Organizacji Partyjnej (w Dębieniu) zdybałem w domu średniaka Wiśniewskiego. Czyściutka kuchienka z podłogą. Kafłowa kuchnia, szafa kredensowa, stolik, krzesła i ława. W jednym kącie przy stole sekretarz Waliszewski, w drugim, przy kuchni córka Wiśniewskiego.

Romans? Powiadają ludzie, że „a ino“. Ale osobiście to romans. Między Waliszewskim a córką Wiśniewskich stoi młody chłop, którego tu sprowadził sekretarz. Pracuje na kole. Ma 2 ha. Jeden obsiał, zebrał — powiada — 6 q. Według planu winien sprzedać 130 kg. Jeśli sprzeda, zabraknie na życie rodziny.

Waliszewski na to: A jeśliśby nie sprzedał, też ci braknie. Aleś zebrał 9—10 q, to ci wystarczy...

Młody kolejarz nie zdążył odpowiedzieć, bo w tej chwili do izby wtoczyło się dwóch chłopów. Stolarza z Jegli popychał sołtys z Jegli. Powłócząc drewnianą nogą zagadał od progu.

— Spotkaliśmy się na szosie do Rybna i myślę sobie: co lepsze, ciągnąć Jankowskiego do Prezydium Gminnej Rady, czy po drodze wpaść do ciebie? Jak ma zrozumieć, młodszego naje się wstydu tutaj, niż tam.

Sołtys z Jegli również jest sekretarzem Podstawowej Organizacji. Jego gromada, jak wspominałem, przoduje w gminie, ale do 100 proc. jeszcze nie blisko.

Teraz sekretarze siedzą obok siebie. Naprzeciw kolejarz i stolarz, za nim przy kałowej kuchni córka Wiśniewskich i młoda sąsiadka. Maż w tartaku, ziemi nie mają, koło krowy, świni i drobiu już się sprawiła, a do obiadu jeszcze daleko, więc przybiegła dowiedzieć się czegoś nowego.

Waliszewski mówi wolno — wy, Jankowski też powiecie: jak dam z 3,5 ha zboże na skup to dla rodziny nie starczy. Tak chciecie powiedzieć?

— Jakbyście mi z ust wyjęli. W rzeczy samej...

— A co wam jeszcze trzeba dla rodziny? Masła i mleka, więc trzymacie krowę?

— I jałowkę — mruczy sołtys z Jegli.

— Mięsa, więc jedną, dwie świnię hodujecie?

— Pieć — uzupełnia sołtys.

— Jajek, więc trzymacie kury?

— Kaczki też ma, jezioro darmo, na stoku dwie owce — wylicza sołtys.

— A konia macie?

— Za oknem widać dwa. Dobrze w pole a jeszcze lepsze do lasu — szczydzi sołtys.

A zboże? Ileście zasiali? 2 ha? Ile zebrałi?

— 14 metrów.

— 22 — wali drewnianą nogą w podłogę sołtys.

— Ale 4 m. na skup, 4 m. na zasiew, to mi zostanie 14, a na świnię, na konie, a na rodzinę? Jaki rachunek? Dwie córki na szkołach w mieście, też im trza coś podesłać.

Sekretarz Waliszewski wstał. Wygląda na 22—24 lat. Niziutki, z lekkim garbem. Najmłodszy w tej kuchence pełnej ludzi.

— Jankowski, a znacie wy tego? (wskazał na kolejarza).

— Nie.

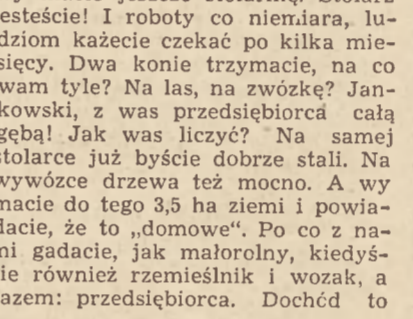
— A Wronskiego w naszej wsi znacie?

— Tego znam, kto by o nim nie wiedział.

— A wiecie, że jego ojciec był robotnikiem rolnym? Jakie musiał porobić majlanty, skoro zaraz po pierwszej wojnie kupił 25 ha. Powiedźcie mi, ile wy byście już teraz mogli kupić ziemi? Ile, 10—13 ha?

— Po co komu teraz kupować ziemię, nie takie czasy...

— Nie takie czasy to prawda. Wasz sołtys ma ziemi tyle, co wy 3,5 ha, a już dawno wywiązał się ze skupu i nie krzywduje sobie. A wy macie jeszcze stolarnię. Stolarz jesteście! I roboty co niemiara, ludziami każecie czekać po kilka miesięcy. Dwa konie trzymacie, na co wam tyle? Na las, na zwózkę? Jankowski, z was przedsięwzięciem całą gębą! Jak was liczyć? Na samej stolarze już byście dobrze stali. Na wywórze drzewa też mocno. A wy macie do tego 3,5 ha ziemi i powiadacie, że to „domowe“. Po co z nami gadacie, jak małorolny, kiedyście również rzemieślnik i wozak, a razem: przedsiębiorca. Dochód to



Fot. Z. Jonko

wy liczyć z trzech źródeł, ze stolarzki, ze zwózki i z ziemi. Bo z dochodu się żyje. Dlaczego stolarz nie ma kupować maki i mięsa? Dlaczego wy sobie rachujecie zboże na konie i świnię, kiedy konie u was są do osobnego interesu, a świnię żreć i puszczacie w handelek. Wy chcecie mieć dochód i własne zabezpieczenie aprowizacyjne? A przecież, Jankowski, meble, które robicie, nie zatrzymujecie u siebie, drzewo, które przewoźcie, też nie zostaje u was. A ziemia, to myślicie, że co innego? Ziemia to także fabryka chleba i mięsa. Miasto i robotnicy liczą ją, jak fabrykę i czekają na jej produkty. Po to na niej pracujemy, po to ją obrabiamy, aby wywieźć dla miasta, spieniężyć, mieć dochód. Czy to ja wam muszę tłumaczyć, że z dochodu się żyje? Wy to lepiej od mnie spraktykowaliście, Jankowski. A głupka tutaj przed nami udajecie, albo jeszcze gorzej... Wy byście mogli z ziemi

połowę zboża sprzedać. Przecież jak chciecie, bierzecie od ludzi za meble zboże, nie pieniądze? Wy najlepiej wiecie u których chłopów są rezerwowane z nadwyżki. Ale wy to chowacie na własny użytek. Z takimi trzymacie „stanie“ i dlatego jęczycie, że 4 m. na 22 to ruina waszej rodziny.

Jankowski! Oprzytomnijcie chłopie. Skąd się biorą w twojej stolarni zamówienia? Skąd możliwość zwózki? Skąd twoje dzieci w szkołach? O, ta kobieta — wskazał na sąsiadkę — jest żoną robotnika w tartaku, nie mają ziemi, a przecież robicie im meble. Stać ich na to. I ja brałem u ciebie szafę i tapczan a też nie mam ziemi. Prowadzę mleczarnię. I nie kryję — duża praca, ale i niemały zarobek. Stąd ty, Jankowski, masz robotę w stolarni i w lesie. Z tych „innych czasów“, nie takich, jak przed wojną. Stąd masz dwie córki w szkołach. Przyjeżdżę, bo Jankowski — „małorolny“. Dokąd ty będziesz świecił tą „mołorolnością“, co? Jakes małorolny to pilny sołtysu z robotnikami! Jakes rzemieślnik i wozak także samo pilny sołtysu!

Waliszewski siadł z powrotem. Jego oczy spotkały się teraz z oczami córki Wiśniewskiej. Jego mówiły — taki jestem. Jej? Nie wiem, czy odpowiadały — podobasz mi się właśnie taki. Bardziej wymowna była twarz sąsiadki. Urodziwa, pełna, czarnooka, rozjarzone oczy, rozchylone wargi i nagle jej mocny, metaliczny głos:

— A kiedy u nas będzie dzieci-niec? Mogłabym się przydać, w domu przecie mało roboty.

## O TYCH, CO POJADA

Z KAŻDEJ wsi pojedzie trzech chłopów na powiatowy zjazd do Działdowa. Będzie ich około tysiąca. Doszła mnie ta wiadomość w Koszelewach. Miejscowi delegaci jeszcze o wyróżnieniu i zaproszeniu nie wiedzieli.

Odpisałem z listy nazwiska: Antoni Kruszewski — 3,5 ha, Stanisław Dąbrowski — 7 ha, Ludwik Janicki — 5 ha.

Do Kruszewskiego kilometr drogi. Mieszka poza wsią.

Kołowal pierwszy śnieg, wiatr popełzał na otwartym polu.

Raz już szedłem w działdowski na taką wydmuchówkę, w Dębieniu to było, do wzdowy Cerkowskiej. Też wiedziałem nie więcej, niż teraz — małorolna, 2,5 ha. Na wzgórze domek murowany, wokół posadzone świerki wybudują, otoczył dom i obejście niezwykłą dekoracją.

Miniatura dworku? Leśniczówki? „Ubo go ale chędogo“, jak mowi przysłowie. Nie pasowało ono tutaj. Właśnie, że obratek przeżył w otwóstwo: wzgórze, murowany domek i leśny żywopłot. Mają ci małorolni fantazję. Niech kosztuje a domek musi być i jeszcze go się upiększy.

Gdyby o mnie szło, sercem jestem z nimi. Bez kultury „sa tylko pogłoski, plotki, bajki, przesady ale nie polityka“. A w tym domku okna we-neckie, kuchnia kafłowa, podłoga, jasność i czystość. Zastalem wdowę, 11-letnią córkę i najstarszego syna, ma około 30-stki. W nim najmocniej żyje duch domu, choć jest z tych, co ani skłony do dziedziczenia ani do małżeństwa. Był na wojnie, wrócił z zachodu dopiero w 47 r. Nad sobą postawił krzyżek. Do pracy trzeba mieć fach, a on nie miał żadnego zawodu. Tyle przepadał lat. Po powrocie nie myślał już o sobie. Ustawiał braci. Jeden jeszcze furmani, ale pójdzie do zawodu, na garbarza, drugi już od roku uczy się na malarza. Sam chciał.

— A wy? Przyłapałem go jak pod szerokim oknem składał jakiś skomplikowany tłok maszyny. Uśmiechnął się.

— Ja z takiej roboty, co chwycę w ręce, to wymajstruję, ale zawodu mi brak.

— Zawodu, czy celu? Braci wypychacie w świat, ale sami wolelibyście zostać tu, prawda? Tylko co tu robić poważnie w ślusarce, w maszynach? To was trapi?

Skinął głową.

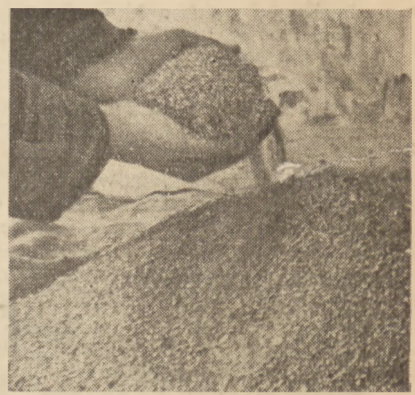
— Dla was wymarzone miejsce byłoby w spółdzielni produkcyjnej.

Cerkowski podniósł się i cicho, przejmująco powiedział:

— To moja ostatnia nadzieja.

Kruszewski i Koszelewski również ładnie sobie mieszają pośród łąk i oczywiście w murowanym domu. Długo można by opisywać kuchnię i pokój. Panuje w nim ład i schludność, jakie ogląda się na przedmieściach robotniczych. Miał 10 dzieci. Wszystkie żyją. W tym 7 córek. Ich to ręce, ich smak widać w takiej nowości, jak tapczan i samodziół, który go dobił. Ale córek już w domu nie ma. Najstarsza wywieziona podczas okupacji na roboty do Holandii, wyszła tam za mąż i została... Po wojnie młodsze prawie hurmem pociągły do miast. Dawie pracują w przemysle (Gdańsk, Olsztyn), trzecia w transporcie morskim (Gdańsk), czwarta w spółdzielni trykotażowej (Olsztyn), piąta jest nauczycielką. Szóstka teraz właśnie opuszcza dom, wychodzi za piekarsza w sąsiedniej wsi. Syn najstarszy żeni się na innej gromadzie, będzie pracował w spółdzielni. Dwaj najmłodszy dopiero co ukończyli szkołę podstawową. Przyjechał, korzystając z urlopu, zięć. Tu w 45 r. biwa-kował, ciągnąc do Gdańska. Zakochał się, ale wyjechał. Zaczynał od najbardziej podrzędnych prac na kole. Wstydził się takiego początku. Ale nie wstydziła się dziewczyna. Przyjechała do Gdańska. Znalazła pracę w

fabryce puszek konserwowych. Pobrali się, mają już dziecko. Męża wznosił awans społeczny. Stanowisko obecne? Mniejsza o to, najważniejsza — opowiada — że w pracy rosiem. Przed 6-ciu laty był ze mnie młodziak, nieuk, kret, a w tym roku wybrało mnie do Egzekutywy. To jest droga! Dziewczyna Kruszewskiego wszystkie są nad podziw dzielne. Moja żona też Gdzybony ona w domu usiedziała. Nie chce być „cwokiem“. Ona mi kazala rozmawiec



Fot. WAF

się z ojcem. Jednego chłopaka wzięliśmy do siebie, niech się uczy. A w Gdańsku jest się czego uczyć.

Dąbrowski jest sołtysiem. Kim był przed wojną? Dzierżawca tej samej ziemi, która dziś stanowi jego własność z dekretu o Reformie Rolnej. Ziemia należała do Niemca Bauer siedział za granicą a Dąbrowski miał dom dzierżawę rok rocznie. Pół zycia bił się o „własność“. Teraz ją ma. Ale sołtys lepiej i częściej słyzy o nowym, które wybiera i zapanuje. Sołtys-tata widzi to po dzieciach. Najmłodszy syn rwie się do szkoły zawodowej. Najstarsza córka, ma już 15 lat, poszła na sklepowa do filii GS-u. Drugi już rok pracuje u sklepu filii w Koszelewach — to wiejski PDT. Wielka izba. Na polkach rozstawione z sensem towary tworzą wspaniałą wystawę. Duża przestrzeń dla klientów. Pod ścianą ławy. Siadają tu zbiorowo chłopcy z PGR-u i popatrują na piękną sołtysówne. Rozmawiają z nią ciekawie i z ambicją.

— Wiesz, ileś sprzedała w tym roku cukru?

— Wiem.

— A ile to wypadło na rodzinę?

— Skądże mam wiedzieć, przecież nasza filia obsługuje trzy wieś.

— Nie wiesz? To podzielił przez ilość rodzin z trzech wsi. U nas w PGR-e tak się w... b...

Winnas mieć listę mieszkańców Koszelewa, Murawek i Tuzcek.

Jakże planujesz zapotrzebowanie np. na lemiesz, obręcze, kosy, garnki? Powinnas na zebrańach gromadzkich zapisywać albo po domach chodzić. Twój tata prowadzi akcję skupu, a tyś powinna — akcję zakupu.

— Tacyście tu mądrzy? A u was jeszcze świetlica nie wyremontowana.

— Aleśmy oborę postawili bez grosza kredytu.

— No, to idźcie do obory na zebrań.

Janicki też myśli o dzieciach. Najstarszy syn jest prezesem GS-u w Zabieniu. Młodszy, 17-latek, od dwu lat uczy się u organisty gry na fortepianie. Skrzypce i akordeon opano-



Fot. Maciejewski

wał niegorzej. Niepokoi go pytanie — co dalej? Ma tylko szkołę powzeschną. Gdzie go „eraz przyjmą? A tak chciałby do konserwatorium... Zrobiliśmy umowę. ZMP pomoże mu, ale musi na to zasłużyć. Niechże założy chór, niech spróbuje zorganizować pokazowe tańce. Niech z tym projektem i robotą przyjedzie do koła.

Do koła ZMP należy sklepowa, chłopcy z PGR-u, muzyk Janicki, pracownicy w GRN-ie. Jakże ciekawi są ci dwoje. Ona ma matkę, matkę domki i zagon ziemi. Dziewczyna po szkole powszechnej wyrobiła się na bystrą, inteligentną urzędniczkę.

On ma 19 lat, matka umarła przed rkiem, matka, pod której opiekę wracał codziennie. Rok chorowała. Wówczas on gospodarzył na dzierżawionym hektarze. Obrządał krowę, świnię i kury. Gotował i posługiwał matce. Kiedy umarła ożenił się, aby „nie być sam“, aby wznowić ciepło, jakim ogrzewała go matka.

Na ożrze pojedają z Koszelew starzy chłopcy. W dniu triumfu tych dzielnych i ofiarnych gospodarzy, kiedy będą przemawiać, niewątpliwie wiedzą o dzieciach. Dzieciom otwiera się droga, otwiera się przyszłość. Oni pomogą! Oni wytrwają w każdym wysiłku. Ale też czas na młodzież!

Jan Aleksander Król

MICHAŁ BENIUC

Z poezii rumuńskiej

## PIEŚŃ WIOSENNĄ

Nadaremny wasz trud w pocie czoła,  
czoło żółte i wzrok zatroskany —  
próżny trud — choćby chciał, nie podola  
nie zakuje nam wiosny w kajdany.

Wiatr Pokoju po wszystkich dmie ziemiach  
dni jak kwiaty — zielone dąbrowy.  
Nie słyszycie, że szczygiel pieśń zmienna,  
chcecie wiosnę nam zakuć w okowy?

Nie słyszycie — już świat się w krag burzy,  
ziemia, człowiek radością pijany.  
Próżny trud wasz — niech strofa powtórzy —  
żeby wiosnę nam zakuć w kajdany.

Nad zgnilizną pękają już paki,  
w całym kraju widać piękny i nowy.  
A wy cóż — choć naokół skowronki —  
chcecie wiosnę nam zakuć w okowy?

Nadaremny wasz trud w pocie czoła,  
czoło żółte i wzrok zatroskany —  
próżny trud — choćby chciał, nie podola  
nie zakuje nam wiosny w kajdany.

tłum.: Dusza Czara — Stec i Włodzimierz Lewik

JAN SKALSKI

# ROK URODZAJU

Bogaty był gospodarzy plon drugiego roku Planu Sześcioletniego. Nasi ludzie wyprzedzali czas. Rok produkcyjny nie pokrył się z rokiem kalendarzowym. Wygraliśmy po dziesięć, piętnaście, trzydzieści a nieraz i więcej dni.

W zeszłym roku o tej porze daleko jeszcze było do wykonania planów skupu zboża. W tym roku olbrzymia akcja dobiega końca.

Zmienił się przez ten rok wygląd naszego kraju, zmienili się i jego budowniczości.

Podobnie jak wyniki produkcyjne cieszy nas fakt, że wzrosł najcenniejszy kapitał narodowy — ludzie. Twardą szkołą był rok 1951. Wysokie i ambitne postawiły sobie zadanie — podnieść o 23,4 proc. produkcję.

Wroga postawa państw imperialistycznych, które złamały szereg umów handlowych w celu zdeorganizowania naszych planów i zahamowania



Fot. WAF

wania naszych postępów gospodarczych, wyjątkowo trudne warunki klimatyczne — kłeska suszy, która uderzając w rolnictwo, pośrednio odbiła się niekorzystnie na całym życiu gospodarczym — wszystkie te przeszkody jeszcze więcej utrudniły wykonanie zadania. A jednak zadanie zostało wykonane. Na giełdzie sumień w Wall Street, akcje robotników emigracyjnych spadły jeszcze niżej.

Dlaczego i tym razem zawiody nadzieje? Na próżno londyńscy bankruccy zaglądają będą do grubych ksiąg burżuazyjnej psychologii i studiować „psychologię tłumów”. Wyjaśnienia nie znajdują. To nie są prawdy z ich świata.

Są pewne okresy i momenty w roku, które dają szczególną sposobność do ukazania postawy naszych ludzi. Są także sprawy i wydarzenia, które szczególnie i wyraźnie dokumentują prawdę, że stajemy się narodem socjalistycznym. Gdzie ich szukać należy?

Patrząc z perspektywy ostatnich dni trudnego roku 1951 na miesiące ubiegłe, przypominają się nam ludzie i zdarzenia często pospolite, zagrzebane w szarym dniu prowincji, które jednak po bliższym przejrzaniu okazują się pełne głębokiej wymowy i wagi, które po miesiącach nie zabłydy, lecz przeciwnie z perspektywy czasu urosły jakby i nabrały znaczenia historycznych treści.

Na wsi zima kończyła się pod znakiem skupu zboża. Był to okres demaskowania wroga. Upadło wtedy wiele wielohektarowych autorytetów. Lecz za czym? Aktywizacja biedoty i średniaka zaczynała się od zabrania głosu na zebraniu gromadzkim, od korespondencji do gazet. Tak zaczynała Waleria Kawka, dziewczyna spod Skierniewic... Tak zaczynały tysiące nowych aktywistów.

W tym samym czasie, gdy konferencja aktywu młodzieżowego uwniła niewyczerpane rezerwy młodzieżowej energii i inicjatywę, produkujący chłopci oglądali sztukę Warmińskiego „Zwycięstwo”. Ale jak oglądali! Wielu chłopów sądziło, że idą na taką sobie rozrywkę i uciechę, a sztuka ich uśmiała. Trzeba było myśleć; chwalić ale i sprzeciwiać się i krytykować. Bo sztuka mówiła o takich rzeczach, że spokojnie patrzeć i słuchać nie było można. Jak nie można — na płotku o nas samych. Ruszyli do krytyki i starzy działacze. Możliwość Godzianowa chyba najpełniej wyraził, jak chłopów ta sztuka obeszła.

Dużo dobrego zrobiła sztuka Warmińskiego. Dopiero teraz można ocenić, jaką ten ruch chłopów wokół „Zwycięstwa” miał wymowę. Szóstę Plenum Partii i treść hasła frontu narodowego w walce o pokój i socjalizm zrozumiałem w pełni dopiero podczas takiego wielkiego ruchu jak plebiscyt pokoju. Istotę i znaczenie zjawiska, że stajemy się narodem socjalistycznym poznałem najdobitniej — zastanawiając się nad pracą przewodniczącej Prezydium pewnej Gminnej Rady Narodowej. Kolodziejczykowej. poznając „nowe” w klinice Akademii Medycznej w Lublinie — i ludzi czynu majowego.

W wielu kopalniach na dole zaczynał wtedy pracować radziecki „Donbas”, a młody inżynier Borkowski walczył o wprowadzenie

metody Kowalowa w polskich kopalniach, by nową techniką i nauką podprzeć inicjatywę Alfreda Kawczyka.

Na wystawę księgarską wchodziła książka Scibora-Rylskiego „Węgiel”. „Pokład Joanny” ukazywał nowe możliwości starego Morcinka. Górniczy dyskutowali „Jana bez ziemi” Jackiewicza, krytyka zjada „Ludzi z węgla” Rydzewskiej. Cwiczyli swoje pióra: młody górnik — Włodzimierz Grab i racjonalizator huty „Zygmunt” — Teodor Gajda.

Górnik, hutnik, inżynier i pisarz stanęli w jednym szeregu frontu narodowego. Po raz pierwszy na wiosnę 1951 r. szła tak na Śląsku ręka w rękę produkcja i kultura. To mówi bardzo wiele.

W starych murach nowej, powołanej przez państwo ludowe do życia Kliniki Akademii Medycznej w Lublinie odbywa się zjazd chirurgów — wśród nich pierwszy narybek powojenny. Nowa inteligencja — chłuba socjalistycznego narodu zaczęła już spłacać dług zaciągnięty Ludowi.

W drugim okresie dwudziestolecia przedwojennego popularne były książki Dolegi-Mostowicza „Znachor” i „Profesor Wilczur”. Bohater tych powieści świetny warszawski chirurg dwukrotnie stacza się ze szczytów kariery na dno upadku. Raz z powodu kłopotów małżeńskich, drugi raz wygrzybiony przez brudną konkurencję. Sławny profesor stacza się i upada — to znaczy — zaczyna leczyć chłopów na zapadłej prowincji. Raz, straciwszy na skutek wypadku pamięć, leczy ich jako znachor, drugi raz — jako cierpielnik z musu.

Zdaje mi się, że w powieści tej po zeszkrobaniu całego sensacyjnego błichru drugorzędnej powieści mieszczkańskiej można doszukać się jakiegoś znaku czasu, jakiejś strasznej prawdy o tamtej rzeczywistości, jakiejś opacznej „niezawinionej” przez autora satyry na ówczesne stosunki.

By biedota mogła być leczona przez wybitnego profesora, musiał on wprerw stracić pamięć, zwichnąć karierę i stać się... znachorem.

Na wiosnę roku 1951 obraduje w Lublinie zjazd chirurgów, wśród których nie brakuje sław naukowych, radzą oni nad leczeniem pracującego człowieka miast i wsi, właśnie tego znachorowego pacjenta z przedwojennej powieści. Po pacjentami dzisiejszych sław lekarskich są tacy jak syn średniorolnego chłopca Stanisław Chopczyński z Glinnego Stoku, jak córka biedniaka — Emilia Cwiklińska. Żadne z nich przed wojną nie miałyby szans wyzdrowienia.

Ci młodzi ozdrowieńcy nie będą sobie nawet zdawali sprawy z tego, że mogliby być inaczej, że mogli być pozbawieni opieki lekarskiej. Wydaje się im zupełnie jasne, że szpital dla takich jak oni, stół otworom. Ale na zjeździe chirurgów operowano także wyniszczzonego latami choroby i nędzy Stefana Furmanika małorolnego chłopca, który dobrze pamięta czasy przedwojenne. Furmanik rozumie, komu zawdzięcza wyzdrowienie. Pochodzi z Jesionki k. Parczewa — to niedługo była Polska B, to akurat takie same strony, jak te, w które schronił się znachor Dolegi-Mostowicza. Niestety — Furmanik nie natrafił na takiego uczzonego znachora, przez 18 lat był kandydatem na stół operacyjny i przez 18 lat musiał cierpieć, zaciępnąć zęby i czekać... I doczekałby się śmierci, gdyby nie Polska Ludowa.

Jeśli zeszłoroczny skup przeciągał się do wiosny bieżącego roku, jakie mamy gwarancje, że tym razem będzie inaczej? — pytali chwiejnie. Sołtys Wojciechowski z Broniowa, pow. Radom, którego nazwano później nie bez racji bogackim adwokatem, już wtedy głową kręcił. Jakże to? Żelazną zasadą polityki gospodarczej było przecież: Trzymaj zbo-



Furmanik czekał 18 lat. 25 lat czekał Antoni Jakubczyk z Wierzhonowa gm. Celejew, chłop na trzech hektarach — gdyby się spóźnił o kilka dni do kliniki straciłby na zawsze wzrok.

Ale nie tylko to jest wspaniałe, że dzisiaj 70-80 proc. pacjentów kliniki lubelskiej stanowią pracujący chłopcy. Również wspaniałym jest fakt, że coraz szybciej powiększająca się liczba narybku lekarskiego to w przynajmniej jednej masie dzieci chłopskie i robotnicze. Tak się ma rzecz z chlubą Akademii Medycznej doktorem Wandą Stefaniuk i z młodszym asystentem Januszem Kowalskim, synem drobnego rolnika z Łopiennika Dolnego, w powiecie krakowskim.

Tak wyglądają nowi ludzie w starych murach nowej kliniki. Taką jest inteligencja i takie jej działanie. Ale nigdzie tak mocno nie wyraża się „nowe” jak w starych, odmieńcionych przez Polskę Ludową, obudzonych powtórnie do prawdziwego życia i do działania ludziach.

Olo w Kłonicy, pow. radomszczański, przewodnicząca Prezydium Rady Narodowej zostaje małorolna Kolodziejczykowa, przez wyćwiczenia biurokratyzm zawodowego urzędnika — sekretarza Prezydium Witeckiego, chwiejność swego kolegi Mokrasa, aktywizuje mało i średniorolnych, walczą o obsadzenie nimi komisji gminnych, opiera się znowie wroga klasowego — wielki temat pisarski, przez nikogo nie tknięty. Temat wielki — bo Kolodziejczykowa nie jest wyjątkiem — jest typem, bo przez nią przemawiają wielkim głosem czasy.

Plebiscyt pokoju stał się egzaminem świadomości narodu. „Znow jestem w trójce — pisze zasłużony działacz i korespondent chłopski Seweryn Skulski. — Ale to już nie jest ten czas, w którym niekiedy ciężko było uzyskać tu i tam podpis pod apelem sztokholmskim”.

Wspaniały akt woli narodu budującego w pokoju socjalizm wykazał, że ludzie świadomych naszej pracy i walki zaczynamy liczyć na miliony.

Iluż pracujących Polaków mogłoby powtórzyć za Pawłem Czesławem, robotnikiem z Kalwarii: „mam dwóch synów”, którzy uczą się na mechaników i jak tak patrzą po swojej wsi, po gminie, po powiecie, jak to i owo słyszę, jak to i owo czytam, to widzę, że jest czego bronić. Przecież takiego czynnego udziału mas w życiu narodu, nigdy nie było.

Dziś, to każdy chłop, każde dziecko wie, co to jest Nowa Huta, co Plan 6-letni — wszyscy się tym interesują, bo to wszystko jest nasze. Jest ogromna zmiana z czasami przed wojną i ja tę zmianę widzę”.

Przed lokalem plebiscytowym w Czerniewicach korespondent zapytał średniaka Marchwińskiego, dlaczego podpisuje kartę plebiscytową:

— Pewnie wam spalił stodołę w czasie ostatniej wojny?

— Nie spalił.

— Albo uszkodził wam dom?

— Nie uszkodził.

— Może straciłście kogós z najbliższych?

— Bóg ocalił, nie straciłem.

— To dlaczego podpisujecie?

Zamiast odpowiedzieć Marchwiński ciągnie korespondenta za rękaw i przez płot pokazuje obsiane pola.

— Widzicie te grunta? Pomyślcie, ile to trzeba było użyć nawozów, ile kosztowała praca ludzi i maszyn, jakie w tej ziemi leży dorodne ziarno selekcyjne. Jest więc o co walczyć obywatelu?

Jest o co walczyć. To zdanie przewijało się przez wiele wypowiedzi, a świadczyło nie tylko o tym, że ludzie znają cenę pokoju i cenę wojny, ale i że żyli się już i związaali na śmierć i życie z tym „nowym”, co przyszło po wojnie, a ich obrona pokoju, to nic innego, jak właśnie obrona tego „nowego”.

W tym roku Państwo Ludowe z troską i zapobiegliwością mądrego gospodarza uchwalilo przeprowadzić wielką akcję skupu zboża do dnia 31 grudnia. Wieś nasza stanęła przed wielkim egzaminem.

Jeśli zeszłoroczny skup przeciągał się do wiosny bieżącego roku, jakie mamy gwarancje, że tym razem będzie inaczej? — pytali chwiejnie.

Sołtys Wojciechowski z Broniowa, pow. Radom, którego nazwano później nie bez racji bogackim adwokatem, już wtedy głową kręcił. Jakże to? Żelazną zasadą polityki gospodarczej było przecież: Trzymaj zbo-

żo — jak tylko możiesz. Co ci mysz zeżre w komorze, odbijesz se dwakroć w wiosennej porze — powiadał stary spekulanci.

Lecz nawet niejedną uczciwym aktywistą na próżno pod koniec lata wyglądający deszczu zaczynał się chwilać: „Kłeska suszy, to kłeska niebieska, przed nią i plan państwowy ustąpić musi”. Patrzył więc z trwogą, jak twardejle na kamień gęba i zdawało mu się, że tak samo stwardnieją w tym roku serca chłopskie.

Kulactwo i spekulanci podnieśli głowę. Wrog klasowy sprzymierzył się z suszą... Średniak — główny producent zaczął liczyć worki i otwierać ucho na bogackie plotki.

Lecz właśnie w tych trudnych dniach września na ogólnopolskich dożynkach w Poznaniu, wspanialszym niż kiedykolwiek, wspanialszym niż kiedykolwiek wystąpili chłopi-przodownicy. Tak Edmund Ratajczak z powiatu汪wagowieckiego, który wezwał do współzawodnicstwa mistrza urodzaju Mazura i pokonał go w produkcji buraka cukrowego.

Taki Jan Gorajec z Kościelinka Wielkiego, który na 6 ha zakontraktował w 1951 r. 10 tuczników. Taki Antoni Czyż, średniak z olsztyńskiego, doskonały hodowca trzody, plantator buraków i kierownik zespołu samokształceniowego. Taki Stanisław Nikodem ze wsi Dębina w rzeszowskim, który mając zaledwie 2,8 ha ziemi ornej wyhodował w 1950 r. 6 tuczników, z czego 5 zakontraktował i odstawił do spółdzielni, a w roku bieżącym z zakontraktowanych 5-ciu tuczników odstawił już przedterminowo przed dożynkami 2 sztuki, wykonując nadto plan odstawy jaj w 520 proc. i dostarczając ich 105 kg. Nikodem to jednocześnie przodownik uprawy buraków cukrowych, rzepaku i pszenicy. Słaje ziarno tylko kwalifikowane, propagując je i rozprowadzając wśród sąsiadów. A oto małorolna (póttora ha) Maria Jaskólska z Białego Boru w woj. bydgoskim, matka 6-ga dzieci, kierowniczka przodującej grupy plantatorów roślin kontrakowanych. A oto średniak z olsztyńskiego Jan Szułcki, dawny robotnik rolny, dziś średniak 10-cio hektarowy, wzorowy gospodarz, hodowca i plantator, który już do września wykonał i przekroczył plan skupu zboża, dostarczając 180 procent wyznaczonego ziarna. Szułcki, to przodujący, znany i aktywny działacz z ZSCH.

Historia życia tych ludzi — to pasjonujące tematy literackie, bo w nich odbija się jak w zwierciadle cepoca, jej trud i jej wielkość.

Co jest wspólnym i charakterystycznym zamięszeniem tych przodujących w produkcji chłopów? Czy tylko wysokie plony? Nie! Przede wszystkim uderza nas, że są to chłopci-działacze, chłopci-agitatorzy, chłopci-nauczyciele. Na tym polega ich nowość w naszej wsi. To są chłopci, którzy, obojętnie, czy już w spółdzielni produkcyjnej czy jeszcze poza nią, nie chodzą już w pojedynkę. To nie są samotne dęby w martwej porębie — lecz żywi ludzie skupiający koło siebie gromadę, pracujący razem z gromadą, prowadzący gromadę. W tym leży ich siła i w tym leży siła „nowego” na wsi.

Tacy właśnie chłopcy w imieniu swych milionowych mocodawców złożyli na dożynkach ślubowanie, że obowiązku względem państwa dopełnią.

Miesiące następne pokazały, że nie było to głosu słobowanie, że składał je nowy, świadomy człowiek.

Sołtysa Wojciechowskiego do-kształcałi mądry kułacy — ale przecież dialektyki go nie nauczyli. Nie rozumiał nasz sołtys tego, jak to być może, że właśnie w okresie największych trudności, gdy pan Bębenek — gromadzi bogacz znów zaczął odzywać się języka w gębie i radio głośno nastawiać, kiedy ludzie na polach kopali kartofle jak ulegalki, kiedy wcale nie było wesoło z orką i siewami — właśnie wtedy — urosli i pokazali się tacy ludzie jak Nikodem i Szułcki, jak Ratajczak i Jaskólska.

Nie rozumiał sołtys Wojciechowski, że słonce i deszcz te same, ale ludzie już nie ci sami. Zrozumiał to dopiero na zebraniach gromadzkich.

Powstawali tam z miejsc tacy chłopcy jak małorolny Jan Kanięwski ze wsi Wyrab pow. Sokółów — co miał już śmiało powiedzieć bogaczowi Dąbrowskiemu:

„Skonczyły się czasy twojego wyzyskiwania i posługiwania się nami! Chciałabyś, abyśmy za ciebie wykonywali plan i żywili twoje dzieci w Warszawie, aby mogły się uczyć?”

Nie, tak nie będzie i ty musisz wykonać obowiązki, jakie na ciebie nałożyło państwo”.

Potrąfili ludzie zobaczyć popleczników bogaczy i na urzędach i instytucjach gminnych i zrobić z nimi porządek. Na początku roku Kolodziejczykowa toczyła walkę o dopuszczenie mało i średniorolnych do rady, o wyrobienie w nich gospodarskiej odpowiedzialności za to, co się w gminie dzieje. Taka walka toczyła się nie tylko w Kłonicy. W jesieni pokazali się, jakie ona miała wszędzie wielkie znaczenie. Codziennie prasa przynosiła dziesiątki przykładów aktywizacji chłopstwa.

W Gorkzowicach (pow. Piotrków) chłopcy skrytykowali pracownika gminnej spółdzielni Radca za niewywiązanie się z przeżady zboża. W gminie Dyminy (pow. Kielce) spowodowali usunięcie nieuczciwego klasyfikatora w Centrali Mięsnej, w Woli Lipowskiej zmienili kierownika grupy hodowców.

Na sołtysa Wojciechowskiego też przyszła kreska. Zdemaskował go ostatecznie korespondent chłopski i wykazał, jak kosztem małorolnych zmniejszał kułakom Bębenkowi i Jaworskiemu normy odstawy zboża na podstawie fikcyjnego podziału majątku.

Zdemaskowali się i odpadli w walce wrogowie i ich poplecznicy. Wychowali się i doszli do głosu nowi wartościowi ludzie. Pokazało się, że nawet takie trójprzymierze jak — kułak, susza i „Głos Ameryki” nie potrafił zalać naszych gospodarzy planów.

Wysłaliśmy silniejsi z prób niż byliśmy przedtem. Rok 1951 wbrew klimatycznym warunkom będzie w ostatecznym bilansie rokiem urodzaju. Urosły w nim Żerań, Lublin, Nowa Huta, urosł człowiek.

Urosł człowiek do nowej walki.

Jan Skalski



Fot. E. Gołaszewski

## ANDRZEJ PIECZYŃSKI W SANDOMIERSKIM

Z A stołem w mieszkaniu, siedział sołtys Ziolkowski wraz z kilkoma znajomymi. Była niedziela. Towarzystwo podpiło nieco i języki rozwinęły się na dobre. Nie pozwolono nam mówić — za to mówiono do nas gremialnie, głośno, z szeroką gestykulacją.

— Wy, aż z Warszawy! Dobra. Opiszećie wszystko tak, jak jest. Nasza wieś była w zeszłym roku pierwsza i w tym roku też będzie... O, nie boja się, my rozumiemy, że państwu trzeba dać, nas nie trzeba uświadamić. Odwieziemy wszystko. I kartofle i zboże. Bedziemy mieli zbiorową odstawę. Wszyscy dadzą... wszyscy. Nikt się tu nie wykręca i nie wykręci. Ja o demokrację od początku walcze... — No dobrze, a ileście zboża odstawili?

— He, ile? — Niedużo, bo maszyn nam nie dają.

Teraz wszyscy zaczęli wykrzykiwać. Z wielu głosów wysłuchać można było taką treść: o 200 m. od wsi przebiega linia wysokiego napięcia, a gromada, mimo, że składała podania do PRN i WRN — nie elektryfikowana. Maszyn nie ma. SOM obiecał i nie daje.

— Łapami — wołał jeden z gości Ziolkowski, pokazując wielkie ręce — nie omlóćcie chłochym chciał. Będą maszyny — będzie zboże. Inaczej nie z tego.

Stoczniovec ze Szczecina, tow. S. nie brał dotąd udziału w pogawędce. Siedział zachmurzony. Przechwał organizować zbiorowe odstawy — a tu: brak maszyn — i kłapa.

— A kułaka nie macie między sobą? — odezwał się teraz.

Śmiech. Spojrzeli po sobie. Znajdą się na tym.

— Był tu u nas taki jeden — zaczął sołtys — Wojski się nazywa. Maszyn miał. Pół wsi obrał. Wszyscy u niego pracowali. Ale teraz zmienił się. Ma 9 ha. Maszyn pożyczę... nawet mnie pomagają... — Nie jest to „były kułak”. Ma co prawda 9 ha, ale handluje: koniami, maszynami, zbożem, świniami. Nikt go za rękę nie zapał — ale ludzie wiedzą, że cwaniak, przebiegły, wygadany. Przeszło ma prawdziwego kułaka; szabrownik, kontrewolucjonista, rozbijacz, mściwiec. I teraz mąci, dlatego wieś zboża nie odstawiła. Mówi: „kontraktujcie”. Że? Dobrze mówi... Ale po cichu, przy okazji dodaje: „bo zaliczkę zawsze ci dadzą, a czy ty dasz, to zobaczmy. Wiesz, co jutro będzie?” Mówi: „Bierz bydlę na wypas do Centrali Mięsnej”. Że mówi? — Dobrze... Ale potem szepcze po wsi: „Bydło zawsze będzie miał przy sobie — a jutro co będzie, wiesz?”. Taka to jest ta jego złodziejsko — dywersyjna agitacja „za kontraktacją”, „za wypasem”.

Widzą jego kreć robotę towarzyszy: z partii i sekretarz Podstawowej Organizacji Partyjnej. I Wojski też wie, że go widzą, więc broni się tym, że pisuje do jednego z poczytnych czasopism chłopskich... — Co robotę? Aresztować? Rozkułacz? Nie, towarzysze, Grylc nie będą robił i prawa łamał... On wrósł w gromadę, jak pijawka. Trzeba go oderwać i odizolować. I organizacja partyjna, — jak się ją zaktywizuje — zrobi to.

Towarzystwo S. zamysłił się chwilę, a potem wykonał ręką półkolistych ruch i płaską dłonią uderzył w stół. Ruch taki wykonują ludzie, którzy po przemysłieniu czegoś uznają, że tak właśnie być powinno, jak pomyśleli.

Sandomierszczyzna to lesy, które „same rodzą”. Krajobraz tutaj senny, lasów mało. Wsie położone w szerokiej kotlinie, których brzoża łagodnie wynajają się ku górze. Ziemia ma kolor miedzi. Może dlatego zdaje się, że ciężka. Płaskie grzbiety wznieśli i szerokie, płytkie, rozległe doliny czynią wrażenie, że ziemia ta otworzyła się, dała do siebie pełny dostęp światłu i powietrzu, aby nieść ludziom plony... — Ale plony nie szły jednak obtacie do miast, do państwowych magazynów.

Martwił się tym pełnomocnik w gminie Wilczyce. Czyż nie był kułaków? Czyż nie karał ich za opieszłość w dostawach zboża? Czyż nie przeprowadzał u nich egzekucji za zaległości podatkowe? Czyż nie plectował ich w prasie wojewódzkiej, ostzegając przy okazji opornych chłopów średniorolnych?

Pojechaliśmy z pełnomocnikiem powiatowym do Wilczyce.

— Więc twierdzą, towarzyszu, że bijecie kułaka — mówi pełnomocnik powiatowy po wysłuchaniu krótkiego sprawozdania pełnomocnika gminnego, towarzysza K.

— Pewnie. Biłem go i biję... — A skutków nie masz?

— Słabo. Coś tu u nas w gminie nie jest tak, jak być powinno.

— Pewnie. A chłopci jak się do tych ukaranych odnoszą? Co mówią o karach?

— Mówią, że słusznie są karani oporni bogacze... — Do kogo to mówią i gdzie?

— A do mnie, tu. Przyjdzie który, to powie... Po wsiach się jeżdżą, gada z ludźmi, to mówią... — A aktywy co mówią?

— Aktywy? Po co pytać? Przecież to ludzie uświadomieni... — A na zebraniach mówiliście o tych sprawach, mobilizowaliście aktyw gromadzki, organizacje masowe przeciw kułakom? — Na organizacjach partyjnych, w ZSL-owskich kołach stawaliście sprawy tych, których zamierzaliście ukarać?

— Prawdę mówią, nie. — Widzicie: słusznie, żeście karali, a niesłusznie, że to była akcja tylko administracyjna. Agitacja — to u was były rozmowy prywatne. A kara powinna być pełna: nie tylko przepis prawny, ale moralne potępienie opornego bogacza przez opinię gromadzką, masowa robota polityczna — uświadamiająca, pełna mobilizacja organizacji partyjnych. Tego u was nie ma, i tego wam trzeba. Zróbcie to.

Trwa już od godziny zebranie gromadzkie. Powiat „dobija” do 90 proc. i partia mobilizuje gromady do szybkiego osiągnięcia granicy, po której osiągnięciu następuje zwolnienie od miarki i odsypu.

W sali szkolnej światło niezbyt widne i dym od papierosów. Za stołem siedzi sekretarz Podst. Org. Part. PZPR. Idzie zawzięty spór o miarkę i odsyp. Ktoś mówi:

— Sprawiedliwość musi być!... Dlaczego mamy czekać, aż cały powiat wykona? Kto odstawił, tego niech zwalnają od miarki i odsypu. Wykonał swoje, powinien mieć ulgę.

— Kułak będzie ci dawał swoje na przemiał?

— Pożyczy ci przy okazji?

— Można to zalać. Niech gmina wydaje zaświadczenia ile kto może zemleć: meter, dwa. Tyle ile mu potrzeba. Sprawiedliwość musi być!

Szofer nachyla się do mnie i mówi: — Co on mówi, cholerniku!

Na sali panuje cisza. Obronca „sprawiedliwości” ogłada się, czy wszystkich już przekonał. Ale w milczeniu sali czuje się protest. Słychać szepoty, potem głośniejsze szemrania i pojedyncze głosy.

— Obywatelu! Kto chce mówić — niech prosi o głos — ogłasza sołtys. Znowu cisza. Potem nagle z końca sali pada głos:

— Tak nie może być! Wszyscy ogładają się!

— Co to za gadanie, żeby każdy osobno! Wszyscy musimy wykonać! Co ma kto na zbożu biednego jechać i swoje metry mieć. Niech nam tu nikt śpiłpnie nie mydli. My wiemy kto na tym skorzysta — a państwo straci na pewno.

Na sali coraz gwarniej. — Kto chce kułakowi pomagać niech od razu powie!

— Kto zalega, niech tu przeczytają. — Czytać ich! Niech wszyscy wiedzą!

powiatowy po wysłuchaniu krótkiego sprawozdania pełnomocnika gminnego, towarzysza K.

— Pewnie. Biłem go i biję... — A skutków nie masz?

— Słabo. Coś tu u nas w gminie nie jest tak, jak być powinno.

— Pewnie. A chłopci jak się do tych ukaranych odnoszą? Co mówią o karach?

— Mówią, że słusznie są karani oporni bogacze... — Do kogo to mówią i gdzie?

— A do mnie, tu. Przyjdzie który, to powie... Po wsiach się jeżdżą, gada z ludźmi, to mówią... — A aktywy co mówią?

— Aktywy? Po co pytać? Przecież to ludzie uświadomieni... — A na zebraniach mówiliście o tych sprawach, mobilizowaliście aktyw gromadzki, organizacje masowe przeciw kułakom? — Na organizacjach partyjnych, w ZSL-owskich kołach stawaliście sprawy tych, których zamierzaliście ukarać?

— Prawdę mówią, nie. — Widzicie: słusznie, żeście karali, a niesłusznie, że to była akcja tylko administracyjna. Agitacja — to u was były rozmowy prywatne. A kara powinna być pełna: nie tylko przepis prawny, ale moralne potępienie opornego bogacza przez opinię gromadzką, masowa robota polityczna — uświadamiająca, pełna mobilizacja organizacji partyjnych. Tego u was nie ma, i tego wam trzeba. Zróbcie to.

Trwa już od godziny zebranie gromadzkie. Powiat „dobija” do 90 proc. i partia mobilizuje gromady do szybkiego osiągnięcia granicy, po której osiągnięciu następuje zwolnienie od miarki i odsypu.

W sali szkolnej światło niezbyt widne i dym od papierosów. Za stołem siedzi sekretarz Podst. Org. Part. PZPR. Idzie zawzięty spór o miarkę i odsyp. Ktoś mówi:

— Sprawiedliwość musi być!... Dlaczego mamy czekać, aż cały powiat wykona? Kto odstawił, tego niech zwalnają od miarki i odsypu. Wykonał swoje, powinien mieć ulgę.

— Kułak będzie ci dawał swoje na przemiał?

— Pożyczy ci przy okazji?

— Można to zalać. Niech gmina wydaje zaświadczenia ile kto może zemleć: meter, dwa. Tyle ile mu potrzeba. Sprawiedliwość musi być!

Szofer nachyla się do mnie i mówi: — Co on mówi, cholerniku!

Na sali panuje cisza. Obronca „sprawiedliwości” ogłada się, czy wszystkich już przekonał. Ale w milczeniu sali cz

BOGDAN WOJDOWSKI

# KALENDARZ WSPÓŁCZESNOŚCI



Andrzej Mandalian

## I. W POSZUKIWANIU DUŻYCH FORM.

Obiektywizacja obrazu poetyckiego jest elementarnym warunkiem epiki i pierwszą jej zapowiedzią. W poemacie Mandaliana toczy się akcja, żyją i walczą ludzie, bohater nie zwiera się, nie przeżywa rozterek, nie opowiada o sobie — działa, agituje, walczy. Fakt, że debiutujący poeta potrafił się wydobyc z zaklepanego kregu liryki, podjąć epicki temat, rozwinąć go z udanym skutkiem, jest jeszcze jednym dowodem na możliwość przewyższenia rozpadu formy na jaki cierpi dekadencja poezja burżuazji.

Don Juan, który u Byrona nosił szpadę, w dwudziestolecie paradował z oprawioną żyłką — jakże tu można było uczynić go bohaterem poematu? Każda próba stworzenia zorganizowanej na sposób epiki wizji rzeczywistości stała się bezcelowa i wręcz niebezpieczna dla poezji mieszczańskiej. Rezygnując z metod konstruktywnego obrazowania poeci mieszczańscy wyrzekli się nawet możliwości organizowania samego materiału poetyckiego wedle rygorów metryczno-rymowych. Stworzono i dla poezji filozofie działania daremnego. Ambicje poetyckie skarlały. Rola liryki sprowadziła się do ukradkowego podpatrywania świata, a epika w ogóle straciła w poezji prawo obywatelstwa. Z absurdu uczyniono regułę. Z niemożności twórczej zasadę obowiązującą. Wszystko razem odkryło dla niepokornych sztywnym eksperymentatorstwa. Skutek był taki, że epikę poetycką pogrzebano na dobrą kilkadziesiąt lat.

Trzeba było dopiero wdarcia się do poezji nowych tematów, nowej problematyki, nowych realiów, ażeby odnowić gatunek poematu epickiego. Nie ludy się, sybarytizm mieszczańskiego bytu nie sprzyjał heroicznemu twórczości epickiej. Wymagania stawiane przez burżuazję okresu imperializmu poezji w gruncie rzeczy kończyły się na liryce. I dlatego okres ten pozabawiony jest tradycji żywej, epiki, trudno bowiem wyobrazić sobie rozwój dużych form bez doradnego zapotrzebowania społecznego. To ono właśnie powołało do życia serię poematów o Świerżewskim, o Dzierżynskim czy wręcz „Dzisiaj” Andrzeja Mandaliana. Tylko heroizm walki o nieskrępowaną wielkość człowieka ożywia epikę. Epika jest sprawą tematu historycznie ważnego, a nie liczby stron.

Poemat „Dzisiaj” to, najogólniej mówiąc, obraz przemian zachodzących na wsi polskiej, obraz walki o socjalizm, w pierwszym rzędzie — o kolektywizację. Podjęcie tematu o takiej rozpiętości epickiej podyktowało poecie wybór formy poematu. Dziewięć części, niejako rozdziałów, wypunktowały etapy drogi rozwojowej bohatera. Jego postać wiąże te pojedyncze ognia poematu. Logika kompozycji biegnie w dwóch kierunkach. Po pierwsze: autor wyodrębnił kolejne fazy życia i działalności Wacka Koledę i konsekwentnie w granicach możliwości zakreślonych ramami poematu, kreśli proces jego wewnętrznego dojrzewania. I te właśnie elementy narracji, oddziałujące obraz walki klasowej w trybie ciągłych, uzasadnionych historycznie wydarzeń, nadają utworowi Mandaliana charakter epicki. Po wtóre: rzutuje on dzieje wioski powiatu chełmskiego na tło międzynarodowej walki proletariatu. Zwycięstwo pojedynczego kolektywu wiejskiego w aspekcie gigantycznych zwycięstw narodu chińskiego z jednej strony i zaciekłych zmagania Podziemnej Hiszpanii z drugiej strony — nabiera zwielokrotnionej wymowy za pośrednictwem narzucającej się refleksji.

Akcja poematu rozwija się po linii wznoszącej bez większych zahamowań aż do momentu śmierci Wacka Koledę, co stanowi jej moment kulminacyjny. Tutaj czas się niejako zatrzymuje, bystry nurt wydarzeń rozlewa się w lirycznych partiach utworu. (Rozdziały: „Nasza miłość”, „Tęgo dnia”, „Spiewam pieśń o walce klasowej”). Rozszerzają się ramy projekcji poetyckiej. Do obrazu walki toczącej przez chełmski aktyw dołączają się w filmowym skrócie, wizję wydarzeń z zagranicy. Tętno tej samej walki uderza w Barcelonie, Paryżu, Kantonie.

Wręcz w ostatniej części poematu, swoistym epilogu („Spiewam pieśń o walce klasowej”) poeta sam rozstrzyga, komentuje i wnioskuję. Rezygnując z dyskretnych niedomówień, z poetyckiego szepotu półgębkiem — wygłasza sens poprzednio wyświetlonych przed czytelnikiem obrazów. Mandalian nie cofa się przed podpisaniem własnej rezolucji — nie rezygnuje z retoryki, której tak piękny wyraz dał w epilogu poematu „Dzisiaj”.

Wreszcie w ostatniej części poematu, swoistym epilogu („Spiewam pieśń o walce klasowej”) poeta sam rozstrzyga, komentuje i wnioskuję. Rezygnując z dyskretnych niedomówień, z poetyckiego szepotu półgębkiem — wygłasza sens poprzednio wyświetlonych przed czytelnikiem obrazów. Mandalian nie cofa się przed podpisaniem własnej rezolucji — nie rezygnuje z retoryki, której tak piękny wyraz dał w epilogu poematu „Dzisiaj”.

O wrogu klasowym Mandalian mówi pełnym głosem, dając na wzór Majakowskiego „kapitalizmu portret rodowy” w pełnej krasie barw. O ile wroga klasowego oddał poeta z należytą plastyką, o tyle cała lewa strona obrazu pozostała niezapieczętowaną. Na piórze Mandaliana masa biedniaków zakładająca pod kierunkiem Partii,

Tylko pasja retora, który nieodpartą się dowodu odnajduje w zademonstrowanych przykłady, może być miarą stanowczości wypowiedzi końcowej poety, mającego już po za sobą główne zadanie twórcze: zobiektywizowany obraz poetycki wydarzenia.

W jednej tylko sprawie tymczasem zgłoszę pretensję. Poemat Mandaliana nie wyszukuje w żadnej mierze żywych tradycji pieśni ludowej. O ile pełniejszy byłby obraz gromady wiejskiej, gdyby autor potrafił przedstawić bogaty materiał folkloru! Jest dla mnie całkiem oczywiste, że własne motywy pieśni ludowej, lub biorąc rzecz szerzej: wprowadzenie poematu w atmosferę twórczości ludowej, nadałoby utworowi Mandaliana ten właściwy, niepowtarzalny kolor i sytuacyjny, cechy konkretności opisywanego środowiska wystąpiłyby w całej pełni i zdarzyłyby z poematem jego charakter umownej chłopskości. Już widzę jak Mandalian wyciąga zdanie Majakowskiego o „bredniach czastuskach”. Ale po pierwsze Majakowski dość szybko sam zaczął je nie tylko notować, ale przetwarzać artystycznie, a po wtóre inny był stosunek poety do tradycji kultury chłopskiej w okresie przed kolektywizacją wsi radzieckiej, czy wręcz w czasie wojny domowej podsypanej przez bogate chłopstwo, które z natury rzeczy kształtowało i przygniatało swoją przewagą ekonomiczną kulturę wsi, nadając szczególne miejsce piśnio twórczości folklorystycznej — a inne, rzecz jasna, stanowisko wobec niej winien poeta zająć dzisiaj.

Wskazanie Stalina o literaturze współczesnej jako socjalistycznej w swych treściach, ale narodowej w formach, powinno być nie tylko przyjęte ale i realizowane w praktyce przez naszych pisarzy.

## II. PERSPEKTYWY EPIKI

Bohater poematu Mandaliana, Wacek Koleda należy do okupacyjnego pokolenia ZWM-owców, tego pokolenia, które wydało Janka Krasickiego, Szwicką, Bide, Partyzantka, służba frontowa — oto pierwsza etapa drogi, na której pokolenie to w czynny historyczny sposób zdobywało i przyswajało sobie świadomość klasową.

Okupacja hitlerowska we wszystkich krajach Europy była kamieniem probierczym człowieka: „ileż dróg tym losem błędziło”. Jedne z nich wiodły w prostą linię do faszyzmu i bratobójstwa. Nimi wyruszył późniejszy mordery Koledę. Już tutaj, w samej ekspozycji poematu rozstrzyga się przyszłe losy bohatera — „szeregowego rezerwy... wiadomo czyje”. Wybór typowej postaci nie jest kwestią umowy, lecz logiki, określonej prawami historycznego rozwoju. W centrum zainteresowań epika musi stać bohater, którego droga przebiega wzdłuż głównego nurtu historii. I tylko to może być miarą rozpiętości poematu, a nie jego zewnętrzna objętość.

Kiedy po trzech latach znów spotykamy Koledę — jest już członkiem Partii. To jest rok 1948. Formują się załogi kolektywnej gospodarki. Koleda jest jednym z jej pierwszych agitatorów. „Szeregowy zmartwychwstałej armii” w dalszym ciągu znajduje się na pierwszej linii. Jesteśmy świadkami, jak autor śmiało zabył horyzontalne granice epickiego tematu.

Mimochodem kreśli w formie dygresji obraz pracy sekretarza partyjnego. Kalendarz, świadectwo ustawicznej czujności, niezmordowanej walki urasta do wielkości symbolu historycznego.

*A kalendarz ten, bez imienin świętych, stał na biurku, koło kalendarza, żadna data w nim nie pominięta i pod każdą pismo sekretarza.*

*Można ręce o strony sparzyć. Za lat dwieście, albo za trzysta po muzeach rozłożą kalendarze, pokazywać będą turystom.*

Oto mamy żywy symbol poetycki. Okazuje się, że realistyczna poezja nie musi być rezygnacyjna. Ale odnaleźć go można w sferze tylko nowych doświadczeń społecznych, klasowych i partyjnych. Nieodkurzenie starych akcesoriów z pełnym rynsztunkiem mitologicznej personifikacji na czele, lecz wykucie nowych na miarę naszej epoki, giętkich i precyzyjnych narzędzi przekazywania nastrojów wielkiej emocji tworzenia — jest zadaniem poezji socjalistycznej.

Powróćmy do punktu wyjściowego. Wacek i Górski wyjeżdżają do rodzinnej wioski Koledę. Tu następuje spotkanie delegatów Samopomocy z agitatorami. Wacek wygłasza referat o rewolucji chińskiej w sali miejscowego kina. Tymczasem w zagrodach kułackich szerzy się niepokój i w momencie gdy Wacek urządza w chacie starego Koledę zebranie aktyw, u młynarza zbierają się ci wszyscy, którzy mają na pięku z władzą ludową. Zadołowane zboże, zadołowane dolary, zadołowane steny — oto na straży czego stoi młynarz, kułacy i spółka.

którą reprezentuje młody Koleda i Górski, spółdzielni produkcyjna, zaznaczona jest szara, niewymierna plama. Tylko puste miejsce pozwała się domyślić jej obecności. Tutaj, poemat zapada się raptem. Następująca bezpośrednio scena śmierci Wacka Koledę dzieje się już po fakcie założenia spółdzielni. Z pierwszych wierszy 7-go rozdziału („Nasza miłość”) dowiadujemy się, że już „odszumiały spółdzielcze zboża”, co pozwala się domyślić, że od pierwszego zebrania gromadzkiego aktywu upłynęło co najmniej pół roku. Autor pozabawił nas możliwości oglądania własnymi oczyma historii tych gorączkowych miesięcy, w czasie których kształtował się profil młodego kolektywu spółdzielczego, a sobie odebrał szansę pełnego zobrazowania procesu rozpadu kapitalistycznej wsi. Mandalian „nie wytrzymał” tego dystansu, który narzuca epicki poemat.

W rezultacie powstał epicki szkic. To, co zarzucam autorowi, nie może być — rzecz jasna — dyskwalifikacją utworu. Po prostu skalę możliwości twórczych Mandaliana podnosząc na wysokość zasady obowiązującej, by stwierdzić, że nie sprostał on zadaniom epiki, ponieważ perspektywę tematu epickiego daleko wybiegając po za granice jego uwagi twórczej, czego dowodem jest brak w poemacie kluczowego elementu — masy biedniackiej i obrazu (który winien się stać centralnym w „Dzisiaj”) kształtowania się socjalistycznego kolektywu wiejskiego.

## III. O WYNALAZCZOŚCI POETYCKIEGO OBRAZOWANIA

Debiut poetycki Andrzeja Mandaliana stanowi nie tylko zapowiedź pojawienia się wśród młodych poetów utalentowanego pisarza, ale trwałe niewątpliwie osiągnięcie twórcze. Autor „Dzisiaj” nie dał się uwieść tak popositim w naszej poezji pokusom pseudonowatorstwa — a osiągnął rezultat nowatora, wyraził się stylizatorstwa — i odnalazł właściwy, scisty, artystycznie przekonujący styl.

Poemat ujawnił szeroką skalę możliwości poetyckiego autora. Zarzuty szkic epicki wskazuje mu drogę rozwoju w zakresie dużych form, siła i celność poszczególnej refleksji lirycznych jest świadectwem wartościowych skłonności i w tym również zakresie.

Efekty swej liryki zawdzięcza Mandalian powściągliwym, pozbawionym cienia afektacji środkom ekspresji. Przypomnę jeden fragment z jego książki, będący przykładem metody stosowanej przez poe-  
tę w celu osiągnięcia momentu skupienia lirycznego bez pukania „do serca”, a po przez celowe zestawienie i logiczny dobór refleksji.

*Senne noce nad powiatem  
chodziły,  
po obłokach księżyc się tarzał,  
i dzwoniły telefony, dzwoniły  
i szukały telefony sekretarza.*

Dzwonek telefonu sygnalizuje partii śmierć Wacka Koledę. Ale o tym powie dopiero poeta w następnym fragmencie. Tymczasem jesteśmy zaniepokojeni. Zaniepokojeni na równi z tymi, którzy odbierali nagłące dzwonki, wieści dla nieobecnego sekretarza partyjnego. Zaczynamy coś podejrzawać, znamy wagę spraw partyjnych, znamy sens telefonów z terenu alarmujących partię, szukających w niej ostatecznego oparcia. Z byle czym tutaj się nie dzwoni!

Poezja Mandaliana nie tylko poznaje rzeczywistość, ale i uczestniczy w walce, służy — mówiąc słowami Jastruna — elektryfikacji uczuć. Ton trybuna, zaangażowanie aktywisty, temperament agitatora — oto co ustaliło wysoką temperaturę ideową poematu. Poeta nie kreśli beznamiętnego opisu wydarzeń, nie podpatruje ich biegu ukradkiem, z boku, natomiast sam bierze w nich udział, raportuje, potępia, aprobuję. I dlatego epicka narracja odautorska momentami przeraża w burzliwy monolog retora, udramatyzowany opis przebiegu walki. Liryka nabiera na sile i przeraża się w głośną manifestację uczuć.

Krytyka często kwestionuje prawo obywatelstwa retoryki w poezji, co ma rzekomo prowadzić do zgnębienia dla niej sprozaizowania. Jeśli w ogóle można w poezji wyodrębnić retorykę i przeciwstawiać ją elementom obrazu — to Mandalian jest mistrzem retoryki poetyckiej.

*Niech na zawsze dla nas zostanie  
głośniejszym  
od największych słów  
to milczenie  
postawionych pod ścianą  
przed plutonem  
policyjnych łuf.*

W tej bezbłędnej i skończonej, a jakże prostej formule poetyckiej w żaden sposób nie zdołamy postawić granicy pomiędzy retoryką i obrazem, oba elementy przenikają się nawzajem, a właściwie cały okres retoryczny stanowi obraz.

Bogdan Wojdowski.

Wszystkim korespondentom terenowym,  
współpracownikom naszego pisma  
i czytelnikom przesyła serdeczne  
życzenia świąteczne i noworoczne

REDAKCJA

EDWARD SZUSTER

## Akurat — na odwrót

W początkach bieżącego roku za pośrednictwem Zarządu Głównego ZLP wróciliśmy się do Ministerstwa Kultury z prośbą o przyznanie mi stypendium wyjazdowego. Podanie moje było niejasne: pisałem, że chce wyjechać, nie pisałem natomiast — dokąd. Informowałem jedynie, że pragnąłbym obserwować proces przemian, jakie w prowincjonalnym mieście wywołuje obok wznoszona wielka budowa szesnastolatki; konkretny wybór miejscowości pozostawiłem Ministerstwu Kultury.

Nie za długo otrzymałem pozytywną odpowiedź. Propozycję mi wyjazd do Nowych Tych. Widziałem, że w Tychach powstać ma wielkie socjalistyczne miasto, że budowa tego miasta jest jedną z większych inwestycji socjalnych szesnastolatki. W słowniku geograficznym z końca ubiegłego wieku oraz w nowszej nieco encyklopedii znalazłem dane, świadczące, że Tychy to rzeczywiście coś w rodzaju prowincjonalnego miasteczka. Tak więc upewniwszy się, że istotnie oglądać będę małe miasteczko, PRZETWARZANE PRZEZ WIELKĄ BUDOWĘ SZESNASTOLATKI, cierpliwie czekałem na termin wyjazdu w teren.

Kiedy z końcem lata znalazłem się na miejscu, w Tychach, pierwsze wrażenia i obserwacje były jak najlepsze. Miasteczko istotnie wyglądało skromnie i cicho, przypominało raczej dużą wieś niż miejską osadę; zaś obok tej osady piwowarów nowa budowa wielka, rozległa, tętniąca życiem i pracą, słowem — budowa szesnastolatki. Te wstępne oględziny sprawiły, że zatartym z zadołowania ręce przystąpiłem do studiów szczegółowych. Pochłonęła mnie praca na budowie i obserwacja życia miasteczka; z dnia na dzień pęczniał od faktów i wniosków notes. Było ich tak wiele, że nie znajdowałem czasu, aby zbierać materiał porządkowo i ocenić.

Czas ten znalazł się dopiero wówczas, kiedy po kilkutygodniowym pobytku w Tychach zdecydowałem się wyjechać na kilkanaście dni. Wróciłem do domu i właśnie podczas tej przerwy w obcowaniu z terenem po raz pierwszy krytycznie rozważałem się w zdobytym materiale notatk.

Rezultaty oględzin były zaskakujące i deprymujące nawet, okazało się bowiem, że wśród tego wszystkiego co zachowało pamięć i zanotowało pióro najmniej właśnie było faktów, świadczących o rewolucji, jakiej budowa dokonała w miasteczku. Materiał wydawał się nawet dość żywy i interesujący ale obiecywało wszystko inne a nie powieść o przeobrażeniach „prowincjonalnej dzurki” pod wpływem wielkiej budowy szesnastolatki.

Podziwienie, że podczas mego pobytu w terenie przegapiłem najistotniejsze sprawy, że — co tu ukrywać — zmarnowałem na rzeczy nie-

istotne kilka cennych tygodni, nie ouspieszono mnie przez cały czas pobytu w domu. Kiedy po dwóch tygodniach jechałem po raz drugi do Tych, wracałem już z precyzyjnie opracowanym planem czynności, wyznaczylem sobie przede wszystkim zadanie dokładnego zbadania tyc. wszystkich spraw i powiązań, jakie łączą miasteczko i budowę.

Dwa dni upłynęło mi na tej pracy i znów coraz wyraźniej i dobitniej przekonywałem się, że z moim planem nie jest w porządku. W żadnym bowiem z upatrzonych miejsc nie znajdowałem faktów potwierdzających tezę o przetrwającym wpływie budowy na miasteczko. Nie brakło oczywiście kontaktów między obu tymi światami lecz nie przema, widać one za moją koncepcją. Czyżby wielka budowa szesnastolatki nie upływała na prowincjonalny „miejsce”? Nie mogłem się z tym pogodzić.

Rzecz rozstrzygnęła się i wyjaśniła w rozmowie z sekretarzem komitetu miejskiego, któremu zwierzyłem się ze swych kłopotów. Tychy nie są wcale prowincjonalnym miasteczkiem w pełnym tego słowa znaczeniu. Mieścina nieduża — owszem, odczyna wsiami — owszem, ale ludzie... Mieszka tu wielu górników i robotników z niedalekich kopalni i hut Zagłębia, wielu urzędników kantonowych biur. To małe miasteczko związane jest tysiącami niemi z życiem Zagłębia, stanowi jego nieco oddaloną lecz nie oderwaną część. Ludzie tutejsi to nie są ludzie prowincji. Zasiadających, półbecznych ludzi prowincji prawie tu nie ma, nawet budowa — tak chwiała każdej pary wolnych rąk do pracy — zatrudnia bardzo niewiele tutejszych mieszkańców. Budowa i miasteczko współzyczą z sobą ale budowa nie rewolucjonizuje starych Tych, są to bowiem elementy jednej epoki, jakości jednego czasu — czasu szesnastolatki.

Wyprawę terenową mam już poza sobą. Nie zabrałem materiałów do powieści o rewolucjonizującym wpływie budowy szesnastolatki na prowincjonalne miasteczko. Takiej powieści nie napiszę na podstawie doświadczeń wyniesionych z Nowych Tych. Mogę jednak i powinienem napisać inną powieść — powieść o pierwszych trudnych krokach nowych robotników, powieść o tych ludziach, którzy w milionowej przeszłości masie weszli świeżo w szeregi klasy robotniczej. Materiały z terenu taką właśnie wytyczają problematykę. Więcej nawet. To „stary” górnik i hutniczy z Zagłębia, mieszkający w Tychach, rewolucjonizują świeży element chłopski. Taki jest początek Nowych Tych.

Z niepokojem myślę teraz o tym co byłoby, gdyby udało mi się znaleźć w Tychach kilka faktów potwierdzających moją pierwotną „przypiecioną” koncepcję? Poptynąłbym prawdopodobnie na falę gotowego schematu i napisał coś, co nie dawałoby prawdziwego odbicia starych i nowych Tych.

Edward Szuster

## Jak Marciniak stał się kapitalistą

(Dokończenie ze str. 2)

Zarzewcu. O świcie pierwszego dnia strajku ruszyło chłopstwo do miasta pilnować dróg i utrzymać strajk. Szli przez wieś jak fala, zbierając do walki wszystkich. Gdy zaduniał kroki przed zagrodą Marciniaka, gdy rozległ się groźny krzyk — wychodzi — Marciniak stracił spokój. Jakże tu iść? Na rząd? Rozmyślenia i rozterki przerwał Majcher, który lupiąc kłonicą w drzwi, wołał: wychodź taki synu, tyś nasz prezes. Prezes Marciniak ukrywszy przerażenie i rozpacz w sercu wyszedł, by stanąć na czele chłopów: Majcherów, Znyków, Wiczków, Łapińskich — zrujnowanych i wyzyskiwanych również przez niego — a idących z kłonicami na rząd. Jasne, że z takimi przywódcami strajk chłopski musiał zakończyć się przegrana. W każdym Zarzewcu torpedował go Marciniak, a w Nacelnym Komitecie Wykonawczym S.L., wiceprezes Stanisław Mikołajczyk.

Marciniak był również jednym z ważniejszych działaczy spółdzielczych w powiecie. W Zarzewcu powstał z powrotem na nogi pcdupadła spółdzielnia mleczarska, zorganizował spółdzielnię spożywców, a w 1937 roku spółdzielczą piekarnię. Oczywiście był członkiem Zarządu wszystkich spółdzielni. Zresztą mało powiedzieć — członkiem. Był duszą tych instytucji, mimo że przesował tylko w mleczarni. Wiadomo, że ani prezes spółdzielni spożywców, ani tym bardziej piekarni nie ważniejszego nie czynił bez aprobaty Marciniaka. Wszędzie wydawał się niezastąpiony. A on chętnie udzielał się i poza mleczarnią, gdzie miał pensję w wysokości 110 zł co miesiąc. Czynnikiem — jak mawiał sam do swoich klientów i wielbieli. Lubił to słowo i lubił tę robotę. Dlaczego? Znał chłopskie bolączki i trafnie wybierał najkrótszą drogę do ustąpienia i zatwierdzenia różnych prezesów, skarbników, instruktorów, sekretarzy, wójtów, kierowników oraz pozyskania starostów. Dzięki temu na krótko przed wojną Marciniak robił z Zarzewcem, co chciał. Wszyscy mu ulegali i schlebiali. Jeden Majcher patrzył zawsze spode łba na poczynań monarchy z Zarzewca, ale hardość jego ubijana była przez „klientów” Marciniaka, osadzonych

na społecznych, gospodarczych i oświatowych funkcjach, którzy utrzymywali, że nienawidzi Majchra, Znyka, Wiczków, Łapińskiego i im podobnych tłumaczył się osobistą złością do Marciniaka za to, że nie darował im długu. Majcher zresztą niedługo tkwił w stronnictwie. Wygarnął kiedyś Marciniakowi jego „ideowość”, wykazując że przynosiła mu bardzo konkretne korzyści materialne. Potem przestał chodzić na zebrania. Natomiast coraz częściej zaglądał do fornali. Kosztowało go to dużo, bo Marciniak rozwścieczony, a jednocześnie od czasu pamiątkowego strajku zaniepokojony zachowaniem się Majchra, odebrał mu dzierżawę, czyniąc z niego zupełnego proletariata i do reszty usuwając spośród chłopskiej — gospodarskiej grupy we wsi Zarzewcu.

Władysław Marciniak zdobywał coraz mocniejszą pozycję w okolicy. Potrafił zainteresować swoją wsią Łowicz i Warszawę, potrafił sięgnąć w odwiedziny ówczesnego prezydenta, Mościckiego. Marciniak był delegatem na wszelkie zjazdy i uroczystości. Marciniak coraz częściej figurował za przydzielonym stołem i coraz mocniej umował w garść swoją i okoliczne wsie w łowickim.

I tak się to układało, że u ludowca Majchra i jemu podobnych często gościła policja i oni nieomal czasu spędzali w areszcie, zaś u ludowca Marciniaka członka „opozycyjnego” stronnictwa — nie było policyjnych odwiedzin. W stronnictwie byli różni chłopcy. Byli Majchrowie, ale byli również i Marciniacy. Tym ostatnim wszelkimi sposobami, nieraz bardzo umiejętnie i po cichu, pomagał rząd sanacyjny w walce z Majcherem. Znykiem i tysiącami im podobnych, bo choć nie było ich wielu, ale oni trzęsili każdą ziemią łowicką.

Kapitalistyczne państwo chroniło swojego przedstawiciela kułackiego, wyzyskiwacza Marciniaka, pomagało mu w sprawowaniu rządów nad wsią, pozwalało kierować losami wsi, a przede wszystkim losami jego własnego gospodarstwa, prowadzonego zawsze, z zasady tanimi rękoma wyzyskiwanej biedoty wiejskiej.

Dyzma Gałaj

\*) Andrzej Mandalian. Dzisiaj. „Czytelnik”, 1951.

IRENA MATYSIAK

„GWIAZDY W JEZIORZE”



Wanda Wasilewska

Pisarstwo Wandy Wasilewskiej należy do rzędu niewątpliwie najcenniejszych osiągnięć na linii walki o literaturę socjalistycznego realizmu.

Społeczne i artystyczne doświadczenia pisarstwa Wasilewskiej, rozpoczynające się w najkrótcej historii dla naszej literatury latami drugiego dziesięciolecia międzywojennego stanowią doskonałą, zbeletryzowaną historię tamtych czasów, historię trudnej walki proletariatu o wyzwolenie społeczne.

Pierwsza część trylogii pt. „Płomiemi na bagnach” w szerokim epickim ujęciu pokazuje ciężki żywot wsi ukraińskiej włoczonej w ramy ucisku narodowego w latach poprzedzających II-gą wojnę światową.

Książka pokazując ogólne procesy rozwojowe życia tzw. kresów wschodnich — ziem w imię imperjalistycznych, wielkomocarstwowych zapędów naszego kapitalizmu włączonych w obręb państwa polskiego, wskazuje także specyficzny charakter walki klasowej na tych terenach.

Sprawa walki o wyzwolenie społeczne łączy się tu nierozdzielnie z walką o wyzwolenie narodowe. Tym rzedziej, że wiesz poleśka — była najcięższą biedniacką, element kapitalistyczny reprezentował zaś polski obszar i często zbliżony ekonomicznie do kulaka — polski osadnik.

Wasilewska nie upraszcza jednak sprawy i rysuje sylwetkę ukraińskiego kulaka, lojalnego obywatela sanacyjno-kapitalistycznej Polski i równie lojalnego zdradcy interesów wsi, w stosunku do którego rząd nie stosuje bynajmniej terroru, jakiego w skali masowej używa wobec biedniaków.

Sprzecznosci klasowe i narodowe były zatem szczególnie ostre. Jeśli się przy tym zważy dużą rolę, jaką w procesie budzenia świadomości politycznej odgrywały kontakty ze Związkiem Radzieckim, zrozumiałym się stanie szybkie narastanie elementów rewolucji.

Politykę sanacji demaskuje w powieści nie tylko sojusz z Chmielańszczykiem ale i sprawa Chorzyńniaka. Chorzyński to małorolny chłop małopolski. Jego interesy na pewno nie pozostają w sprzeczności z interesami biedniackiej wsi ukraińskiej.

ko osadnik, obdarzony hojną ręką państwa serwitutową ziemią, staje się automatycznie z jednej strony wrogiem wsi (jako kulak), z drugiej prowadzonym na pasku dłużnikiem — sługusem kapitału.

Zasługą autorki jest to, że potrafiła dokonać typizacji postaci, spraw i sytuacji, tak dalece, że pozwoliło na pokazanie obrazu rzeczywistego życia, na odsłonięcie i zdemaskowanie ustroju, który krzywdząc ludzi, stwarzał sztuczne zapory i granice pomiędzy narodami.

Sprawą, która znalazła równie szerokie i równie słusne odbicie w książce jest proces przekształcenia wsi w kierunku budownictwa socjalistycznego społeczeństwa i socjalistycznej kultury.

Wiemy dobrze jak często w naszych powieściach o produkcji gubi się człowiek, jak redukuje się jego rola na rzecz procesów rozwojowych społeczeństwa, wiemy też w jak bardzo szkodliwy sposób odbija się także zachwianie proporcji między poszczególnymi elementami dzieła na jego idealnej i artystycznej budowie.

Sledzimy na kartach książki idee i organizacyjne wypracowanie się Parukowej, nieświadomościę początkowo chłopki, związanej z przebudową o tyle tylko, o ile to łączyło się z bezpośrednią, namacalną korzyścią.

I tak w stosunku do wszystkich występujących na terenie książki postaci. Wszyscy pokazani są w rozwoju, działalność ich w zależności od związania się z którąś z walczących sił społecznych będzie służyła sprawie postępu albo wstępczności.

Znajomość człowieka i daleko posunięta wrażliwość na procesy psychologiczne pozwoliła autorce dać ludzi tak urzekających prawdziwych jak Piotr Iwańczuk. W głęboko ludzkich dziejach Piotra zamknięte są losy całego pokolenia współczesnych mu rewolucjonistów — proletariatu. Od KPP-owca i więźnia sanacji, poprzez okres różgoryczny, wyrasta na aktywistę politycznego, który nie zawaha się w momencie próby przekreślić swoich osobistych sentymentów, którego twórcą, zahartowaną walką postawa rodzi optymizm i wiarę w ostateczne zwycięstwo. W koncepcji Iwańczuka przejawia się zdolność Wasilewskiej do tworzenia prawdziwych postaci ludzkich, polegająca na zachowaniu oczywistych, ale i bardzo skomplikowanych związków, jakie zachodzą między życiem społecznym, a osobistym poszczególnego jednostki, na nierozdzielaniu tych składowych elementów życia, ale pokazaniu ich we wzajemnej łączności, jako czynników kształtujących świadomość człowieka.

W powieści „Gwiazdy w jeziorze” zajmują w „Pieśni nad wodami” Jadwiga Płosińska i jej matka. Socjologicznie biorąc są to reprezentantki zdeklasowanego ziemiaństwa, kulturalnie umieścić je można również na linii tradycji wywodzącej się z dworu szlacheckiego.

„Gwiazdy w jeziorze” stanowią jedno z kluczowych ogniw rodzącej się nowej literatury socjalistycznej, literatury będącej orężem w wielkiej ofensywie kulturalnej walczącej o nowy ład świata.

„Gwiazdy w jeziorze” stanowią jedno z kluczowych ogniw rodzącej się nowej literatury socjalistycznej, literatury będącej orężem w wielkiej ofensywie kulturalnej walczącej o nowy ład świata. Znaczenie jej jest tym większe, że jest to książka, która na pewno trafi do rąk masowego czytelnika. Prosty, komunikatywny język, interesująca skomponowana akcja, w której właściwie, centralne miejsce znalazła sprawa przełomu pomiędzy dwoma formacjami społeczno-ekonomicznymi, sprawa prawdziwego pokazania klasy dokonującej rewolucji, decydują o wartości powieści, która w każdym calu związana jest z walką proletariatu.

STANISŁAW KOWALEWSKI

„SZKOŁA”

(Fragment opowiadania)

Idziemy, chłopcy! Idziemy — pokrzykiwał niecierpliwie przewodnik.

Zebrał się już wszyscy z Jastrzebia, razem było ich siedmiu. Stali teraz na środku wsi, przed domem soltysa i żegnali się ze swoimi. Jarek spojrzął przelotnie w oczy siostry, zaintrygowane, jasne.

— Dobrze mi będzie. Nic się nie martw — powiedział, ale jakoś bez wiary w te słowa. — Naokół słyszał głosy żegnających, zadyszane, pełne przestrogi, napomnień.

— Już my tu niepotrzebni. Jesień — powiedział jeden z kolegów Janka, Staśko Włodarczyk, wysuwając się z objęciem matki.

— Owa, niepotrzebni! Tu zawsze jest co robić — odrzucił się któryś z gospodarzy. Ale przerwał mu soltys:

— Nie kołujcie chłopcom w głowach. Zdecydowali się jechać, niech jadą.

Stojący pod rozłożystym kasztanem młody Grabski, najlepszy we wsi harmonista, zawołał z drwiną w głosie:

— Ze wspólnego kotła wam żryć dadzą, chłopaki. Do roboty okrutnej popędzą, to się wam odechce. Jeden z drugim w dyrdy tu wracać będziecie!

Siedmiu zuchom uczyniło się jeszcze markotniej, choć wiedzieli przecież, że Grabski łobuz i maciwiada. Tylko Włodarczyk nie wytrzymał. W jego niewielkich siwych oczkach zamigotały błękitki.



Rys. Janina Ignatowska

— Wrócimy, albo i nie wrócimy. Jak nam będzie wola. Ale jak już wrócimy, to i we wsi będzie inaczej. Jeden z drugim kulacki synek też w optokach nie będzie wystawał i zębom suszył.

— Do mnie pójść? — Grabski poruszył się leniwie przy płocie.

— Do kogo trzeba — to piję — rzucił Staśko i kładąc kraciastą, wytartą cyklistówkę na swoje kręcone, jasne włosy krzyknął jeszcze:

— Jak przyjeździemy do wsi, a w mundurach, i z forsą — gały takim różnym się powypracają. I harmonii też sobie kupę. Jak się patrzy. Albo i akordeon.

Grabski stał w milczeniu z pogardliwym uśmiechem. Ale na wzmiarkę o harmonii twarz mu poczerwieniała. Pochylił się, zerwał długi wyschniętą trawkę i wsadził w usta.

— Chciał twój okazać przeciwnikowi całe swe lekceważenie. Wsparł się łokciami o płot. Z koszuły wychylał się szeroki mięśisty kark. Ciemne, wysadzone trochę na wierzch, bezcelne oczy, z ironią patrzyły na zebranych.

— Dosyć żegnania! Jeszcze po drodze musimy zabrać chłopców z dwóch gromad — wołał przewodnik.

Jarek raz jeszcze uściślał siostrę. Poglaskał po głowie siostrzanego dzieciaka, Antosia.

— Nic się nie bój — powtarzał, ale bał się zajrzeć w jej oczy, tyle w nich było żalości.

— Napisz, jak jest — szepnęła siostra.

Jarek bez słowa chwycił kuferek, tracił w bok swego przyjaciela, Staśka. Ruszył. I z nimi inni.

Spod nogi wzbijał się sypek, srebrny jak popiół, kurz. Z sadów i ogrodów ciągnęło maciejką. Szli nie oglądając się za siebie.

Zaraz po przybyciu do szkoły chłopcy dowiedzieli się, że o ich przyjeździe zawiadomiono dyrektora dopiero na dzień przedtem. Zaszło nieporozumienie, gdyż poprzedniego dnia opuścił szkołę ostatni turnus i cały gmach miał zostać poddany zwykłemu w tych wypadkach dwutygodniowemu remontowi.

Na kłatkach schodowych kręcili się ludzie zaczynający dopiero swą robotę. Na salach sypialnych stały łóżka bez pościeli, gołe materace i zagłówek. Personel szkoły biegł zafierowany. Dyrektor, niski łysiejący blondyn, przywitał transport chłopców paru zaledwie zdania. Twarz miał niewesoła. I to powitanie szkoły ostatecznie zaważyło na nastroju Janka.

Nie miał ochoty do żartów z kolegami. W głowie błąkały się niejasne jeszcze myśli. Zazdrość Ignasiewicza jego szybkiej decyzji. Wtedy, wprost z wagonu łatwiej było uciec.

Wyobraził sobie, że z kuferkim w rękę próbuje się wymknąć z gmachu i nagle na drodze spotyka nieszczęśliwego dyrektora. Co mu powie? Że się rozmyślił? Ta odpowiedź go nie zadowoli. A jednak decyzja dojrzała. Uciec stąd. Uciec. Polewał głowę, barki i plecy zimną wdą z kranu. Co pewien czas patrzył z obrzydzeniem pod nogi. Kłofowa posadzka cała pokryta była błotem.

— Jak świnia... jak świnia... Myje się człowiek w tym błocie — mruczał ze złością.

To błoto pod nogami rozgoryczyło go jeszcze bardziej

W umywalni pustoszono. Jarek zaczął się ubierać. W chwili gdy głowę wynurzył z koszuły, spotkał na sobie czyjś uważny wzrok. W drzwiach umywalni stał dyrektor z drugim jakimś mężczyzną, ubranym w sportowy jasny garnitur.

— Co tu się dzieje? — zawołał nagle dyrektor tubalnym głosem w kierunku Janka.

Jarek nie wiedział, czego dotyczyło pytanie. Zresztą w tej chwili był tak zły, że nawet go nie speszyła obecność dyrektora. W odpowiedzi wrzucił tylko ramionami.

— Błoto w umywalni! Błocko jak w bajorze! — krzyknął znów dyrektor i spojrzął surowo na Janka wąskimi niebieskimi oczyma.

— Pewno, że błocko — odrzucił Jarek.

— Jak ludzie chcą się myć w umywalni n.e w chlewie, to co robią?!

— Robią porządek! — z równą pasją odrzucił Jarek. — Ale ja tu brudów nie naniosiłem. Inni tu brykali, bawili się.

— Bawili się! — podchwycił dyrektor. — No, macie, znaleźli zabawę — powiedział w kierunku jego miejsca w sportowym ubraniu. Rozzejrzał się po umywalni oprócz Janka było tu jeszcze paru chłopców.

— W tej chwili macie tu zrobić porządek! Umywalnia ma być taka, jak była reno.

— Nie wiem, co to było rano — zaczął Jarek. — Jak przyszedłem wszędzie leżało błoto.

— Tak — powiedział cicho dyrektor. — To nie wiecie? Więc ja wam powiem. Rano tu był porządek, zupełnie porządek! — nagle na twarz wystąpiły mu rumieńce.

Dopiero teraz widać było jak ogarnia go gniew. — Czynie was odpowiedzialnym za to, żeby tu za dwie godziny, zanim podadzą obiad, z powrotem było czysto — zwrócił się do Janka.

— Nie ja brudziłem, nie ja będę sprzątał. Niech porządkują ci, co tu broili — hardo postawił się Jarek. Poczuł jak po tych słowach czerwonej mu uszy, a po chwili całą twarz oblewa war.

— Aha, synu — dyrektor pokijał głową na pozór spokojnie. — To już twoja rzecz. Jak chcesz, idź wymaczaj tamtych, co narobili błota, żeby tu przyszli uporać. Ale to twoja rzecz. Ja ci tylko od siebie poradzę...

— Kiedy ja nie będę — zawołał Jarek.

— Posłuchaj najpierw, co ci chcę powiedzieć, synu. To, że tu obok szkoły jest brzozywy zagajnik, to raz. Z brzozywych witek dobrać miotły, to dwa. A tu o, waz — służy do polewania, dosięgnie w każdy kąt sali, to trzy. I jeszcze jedno. Jak mówisz, że nie będziesz, to nie masz racji. Zle chyba trafiłeś tutaj. Bo tu od dziś jest twoja szkoła. I tamci, którzy nabocili, to twoi koledzy, górnicy. Ty za nich, a oni za ciebie odpowiedzialni. Rozumiesz, synu — uśmiechnął się jakoś krzywo i nagle zwrócił się do stojącego obok mężczyzny w sportowym ubraniu.

— Idziemy.

Wyszli z umywalni.

Jarek zamiatał w wściekłością. Jeden z kolegów stał obok i polewał posadzki. Jarek czyścił ją zbrojną naprędce miotłą.

— Taki mocny! Dyrektorowi się postawił, a teraz zamiatasz, że haj! — roześmiał się drwiąco kolega.

— Zamiatam, bo brudy — uciął krótko Jarek.

— No, dobra, dobra. Zamiatasz, jak władza każe i koniec.

Jarek odrzucił zużytą miotłę.

— Pójdę jeszcze po nową — powiedział kolegom i wyszedł szybko z umywalni.

Nawet odpocząć człowiekowi nie dadzą po podróży. Długo tu nie będą — odgrażał się wciąż w myślach.

Po drodze idąc korytarzem mijali wpułchylone drzwi kotłowni. Przy piecach zobaczył dyrektora i jego towarzysza. Żywo rozmawiali. Słysząc podniesiony głos dyrektora zatrzymał się na chwilę.

— Nieuwaga? O nie. Dwa tygodnie dali nam na remont. Cała pościel po poprzednim turnusie odesłana do pralni. Dziś przychodzi hydraulicy i specjaliści od centralnego. Malarze mają malować sale i już się wzięli do roboty. Wszystko pozamawiaane. Ja z gęby cholewy robić nie mogę. Remont się robi, część pracownikó w kuchni na urlopek, a tu po odejściu tamtego turnusu przysyłają mi nowych. Siedmiuset chłopców z całej Polski. I co mam zrobić? Nie nie przygotowane. Dwa tygodnie będą ich tu trzymać zanim rozpoczną naukę. Wy mówicie, towarzyszu, że czyjaś nieuwaga. Siedmiuset chłopców trzeba wyżywić, to kosztuje? Nie nie zorganizowane, nie mogą iść na kopalnię. Będą mi się tu pętać, łazić po miescie i tylko słuchać wrogich szepłów.

Z tych siedmiuset, ilu mi się przepływa dwa tygodnie porurywa? Wrog nie śpi, tylko na takich poluje.

Jarek stoi i chłonie zdanie z zdaniem, wszystko co mówi dyrektor.

— Ładnie to będzie kosztowało. Mówicie, że winię krogos tam od góry. A ja wam powiem — gładka roboty, udana roboty. Nam po łapach. Państwo zapłaci za dwa tygodnie bagażowania się tych chłopców. I damy im do rąk karty dywersantom. Tu już są tacy. Chłopcy przyjechali i co? Aut na dworcu nie było, przychodzą do szkoły — cmentarzysko. Łóżka bez pościeli, jedzenia nie ma na czas. Tak ich tu witamy my, szkoła górnicza. Od razu mają do nas stać. I słusznie. Słyszeliście, jak mi się sta-

wał w umywalni ten co mu kazalem zrobić porządek. Stawał się i miał rację. Jak go tu przyjeźliśmy? Wzięło chłopaka, zły był.

— Zły — potwierdza ten w sportowym ubraniu.

— Zły chyba tak, jak i ja — rzuca dyrektor. — Ale zrobi to, co mu powiedziałem. Ja ich znam.

Jarek nie słucha więcej słów dyrektora. Serce zaczyna mu bić gwałtownie. Trudno mu w tej chwili uprzytomnić sobie własne uczucia. Wie tylko jedno — umywalnia musi być sprzątnięta, sprzątnięta jak należy.

Wspina się szybko po schodach prowadzących na górę. Wypada z gmachu internatu i leci przez ulicę w kierunku brzozyowego lasu. Już po chwili wraca ze świeżym nareczem witek.

Z pasją zaczyna szorować podłogę umywalni.

— Coś się wściek! — pytają kole-dzy. — Zdążymy.

— Jak ja robię, musi być porządek — gromi ich.

Białe kwadratowe kafelki posadzki lśnią czysto. Brud spływa wartko pod strumieniem wody. Jarek bosy, z zawiniętymi nogawkami spodni macha rażno miotłą. Tak go zastaje dyrektor.

Zatrzymuje się na progu, surówkę, ze zmarszczonymi brwiami. Rozgląda się krytycznie po umywalni.

— Tak — mówi wolno — teraz z powrotem mogą się tu myć ludzie.

I niespodzianie na jego prostej twarzy pojawia się uśmiech. Jarek spotyka spojrzenie dyrektora skierowane na siebie.

Nie gniewajcie się, chłopcy, że tak na przywitanie, pierwszego dnia musieliście szorować umywalnię — mówi dyrektor już innym głosem. — Ale to, widzicie, też nauka. Wy się nauczycie, innych nauczycie...

Chwilę stoi jeszcze w progu umywalni, jakby nie wiedząc, co powiedzieć chłopcom.

— Bo ja, widzicie, tak po prostu do was — znów się uśmiecha. — Ale pamiętajcie, że w tej szkole macie swojego dyrektora, chłopcy. Z wiochy jestem, tak jak i wy. Syn kulaka. U taty pięć morgów gruntu było i dziesięć gęb do żywienia.

Chłopcy naraz się rozjaśniają. Dyrektor kiwa głową.

— Tak. Głód z domu wygnął. We Francji byłem, chłopcy, na kopalni. I to nie żaden rzeźbacz, a prosty lo-paciarz. Tak. Będziecie mieć dyrektora „łopaciarza”. I dlatego, chłopcy, chyba się dogadamy. I za to tu sprzątanie, też żalu mieć nie będziecie. To nasza szkoła, wasza szkoła.

Na sali panuje już spokój. Jest późna noc. Ale Jankowi wciąż sen nie w głowie, leży na wznak z szeroko otwartymi oczyma.

Podkłada ręce pod głowę, jakby chciał się oddzielić od miękkiej, zachęcającej do snu poduszki. Ale już po chwili obraca się na bok. Patrzy z uwagą na sąsiednie łóżko, gdzie leży przyjaciel, Staśko.

— Spisz? — rzuca cicho. I zaraz słyszy odpowiedź:

— Nie śpię. A ty?

— Ja nie mogę. Jakoś tak myślę sobie...



Rys. Janina Ignatowska

Przez chwilę leżą w milczeniu.

Nagle Jarek zaczyna: — Wiesz, Staśko, ten Płak niegłupio gadal. Ja myślę, że tu trzeba być coś i od nas.

— Co od nas? — przerywa Staśko.

— No, żeby tu czasu nie tracić przez te dwa tygodnie co idzie remont. Samemu pomóc, żeby przedrzeć poszło. Ten Płak gadal... na kopalni idzie o każdą tonę. A my tutaj... no, wiesz Staśko? Myślę, żeby nas tak już prędzej mogli puścić na kopalnię.

—

Rano przy śniadaniu w stolówce jest tłoczno. Co chwila słychać wybuchy śmiechu, gwar paruset głosów. Białe ubrane dziewczyny roznoszą kawę. Między chłopcami siedzi dyrektor.

Trudno jest mówić do tyłu, tyłu osób, kiedy się nigdy w życiu nie przemawiało. Jarek wstaje z krzesła i z trudem przelika ślinę. Na twarzy występują mu rumieńce. Siedzący obok Staśko wali łyżką w kubek i krzyczy:

— Cicho! Cicho! Kolega chce mówić.

Na sali rozgwar stopniowo się ucisza. Wszyscy patrzą z zaciekawieniem na stojącego chłopca. Jarek spotyka na sobie zdziwione spojrzenie jasnych oczu dyrektora.

Pokonywając oniemiałemu wy-rzucza z zaciśniętego gardła:

— Koledzy, tu chodzi o ten remont, o te dwa tygodnie, co jedzą przed pójściem na kopalnię... Żeby je skrócić...

Stanisław Kowalewski

\* „Gwiazdy w jeziorze” napisane w roku 1940, wydane w 1950, Warszawa, „Książka i Wiedza”.

JAN SZCZEPAŃSKI

# ZWIERCIADŁO SPOŁECZEŃSTWA

Książka \*) składa się z trzech artykułów ogłoszonych w naukowych czasopiśmie radzieckich, a mianowicie: L. Kaskarewa — Statystyka w pracach Marksa — Engelsa („Więści Statystyki” Nr 5, 1950), W. S. Niemczinow — Zagadnienia nauki statystyki w pracach Lenina („Izwiestija Akademii Nauk SSSR — Otdieljenje ekonomiki i prawa” Nr 5, 1949) oraz G. A. Podwarkow — Stalin a radziecka nauka statystyki („Więści Moskowskiego Uniwersytetu” Nr 1, 1950). Redakcja Biblioteki Statystyki tak określiła zadania i „społeczny adres” tej książki: „Zadaniem jej jest wykazanie olbrzymiego wkładu, jaki wnieśli do nauki statystyki: Marks, Engels, Lenin i Stalin. Broszura przeznaczona jest dla statystyków i ekonomistów. Stanowi poza tym cenny materiał dla studiujących w szkołach typu ekonomicznego”.

Chciałbym wskazać, że wynikający z naukowego charakteru statystyki adres społeczny tej książki jest daleko szerszy. Statystyka radziecka jest bowiem ściśle związana z badaniami społeczno - ekonomicznymi, z jakościową analizą zjawisk i to właśnie powoduje, że broszura ta budzi zainteresowanie również szerokiego kręgu pisarzy i korespondentów, widzących swoje zadanie w opisywaniu i analizowaniu procesów społecznych i gospodarczych powstającego społeczeństwa socjalistycznego. Słowa Lenina: „Cały szereg zagadnień i to zagadnień najbardziej podstawowych, odnoszących się do ustroju gospodarczego współczesnych państw i jego rozwoju, które rozstrzygane były przedtem na podstawie ogólnych informacji i przykładowych danych, nie mogą być obecnie jako takie poważnie opracowane bez uwzględnienia danych masowych zebranych dla całego terytorium danego kraju i według jednego określonego programu i zestawionych wspólnie przez ekonomistów i statystyków” — zachowują ważność dla wszystkich tych, którzy zajmowali się studiami i badaniami monograficznymi, badaniami nad ograniczonymi wycinkami zjawisk, dla pisarzy i korespondentów pragnących podnieść swoją pracę pisarską na wyższy poziom. Ze względu na statystyki z jakościowymi badaniami społeczno - ekonomicznymi wynika również to, że omawiana broszura nie tylko przytacza wiele wypowiedzi i tez klasycznych odnośnie założeń i teorii statystyki marksistowskiej, lecz ponadto znajdujemy w niej również wiele wypowiedzi klasycznych, podkreślających doniosłość systematycznie prowadzonych badań społecznych i co więcej — wiele wskazuje jak prowadzić takie badania i jakimi dyktami się kierować w zbieraniu i opracowywaniu danych o procesach społecznych.

Z wielości zagadnień poruszanych w tej broszurze chciałbym zwrócić uwagę na trzy, budzące zainteresowanie nie tylko specjalistów statystyków i ekonomistów, lecz również szerszych kręgów ludzi, interesujących się systematyczną obserwacją życia społecznego, a mianowicie: 1) zagadnienie doniosłości statystyki i ujęć liczbowych we wszelkiego rodzaju badaniach społecznych i ekonomicznych, 2) zagadnienie doniosłości jakościowych badań społeczno - gospodarczych, jako koniecznego dopełnienia badań statystycznych, 3) zagadnienie roli statystyki w codziennym życiu społecznym w okresie budowy socjalizmu.

1) Jako reakcja na wypaczenia formalistycznego stosowania metod statystycznych i nieraz bezmyślnego stosowania matematyki w badaniach społecznych w Ameryce, przejawiająca się w Polsce tendencja do odrzucania statystyki w ogóle, do lekceważenia jej roli i ograniczania się w badaniach wyłącznie do metody historycznej. Niewątpliwie nie można zapominać o historyczności zjawisk społecznych, lecz stąd nie wynika, że nie można do ich badania stosować metod ilościowych. „Prawidłowości w dziedzinie zjawisk społecznych — pisze Niemczinow (str. 56) — mają przede wszystkim charakter historyczny i przejawiają się jako tendencje”. Lecz na innym miejscu podkreśla, że „Lenin świetnie władający metodą dialektyczną nieustannie wymagał, aby fakty statystyczne charakteryzowały tendencje rozwojowe zjawisk gospodarczych, a nie jedynie ich zastępyli formę”. Wynika stąd, że metody statystyczne oddają wielkie usługi w badaniu tendencji rozwojowych, procesów historycznych. „Statystyka społeczno - ekonomiczna to jedno z najpotężniejszych narzędzi społecznego poznania” — pisał Lenin. (Dzieła, wyd. ros. 3. t. XXVI, str. 173). „Trzeba umieć bez frazesów, bez wykrętków, z faktami i liczbami w ręku wyjaśniać zagadnienia socjalizmu.” — pisał Lenin na innym miejscu. „Lenin — pisze Niemczinow — przy rozważaniu olbrzymiej ilości interesujących go zagadnień gospodarczych i politycznych, niezmiennie porwacał do analizy obiektywnych danych zawartych w statystycznych liczbach”. (str. 38). „Ogromne znaczenie poznawcze faktów statystycznych polega na tym, że będąc jakościowo określonymi ilościami, pozwalają one na scharakteryzowanie w liczbowy sposób zjawisk społeczno - gospodarczych, które nie dają się ująć i ocenić inaczej, jak tylko przez zastosowanie metody statystycznej”. Interesujące jest zwłaszcza stosowanie przez Lenina metody

statystycznej do badania zjawisk politycznych. Oto co pisze w tej sprawie Niemczinow: „Wyjątkowo interesujące są przekazywane nam przez Lenina wzory wyboru „mierników”, używane w zastosowaniu do badań zjawisk politycznych. Rozważając kwestię siły rozmaitych prądów w ruchu robotniczym i podkreślając, że „... dla uświadomienia robotników nie ma ważniejszego zadania jak poznanie ruchu własnej klasy”, Lenin buduje tabelicę złożoną z 15 wskaźników, określających obiektywną miarę siły różnych prądów w ruchu robotniczym (prawdzyści, likwidatorzy, lewicowicy narodnicy). Ten system wskaźników odzwierciedla w sposób prosty, obiektywny i ścisły wzrost i decydujący wpływ prawdziwości w ruchu robotniczym” (str. 58).

Te kilka przykładów zaczerpniętych głównie z prac Lenina wystarczą dla wskazania zasadniczej roli metod statystycznych w badaniach społecznych.

2) Druga sprawa, nad którą zatrzymamy się dłużej to sprawa łączenia badań statystycznych z badaniami jakościowymi, opartymi o inne rodzaje materiałów. „Marks nigdy nie stał się niewolnikiem danych statystycznych” — pisze Kaskarewa (str. 16). Próba zorganizowania wielkiej ankiety dotyczącej sytuacji robotników we Francji, opublikowana przez Marksa w Revue Socialiste w kwietniu 1880 r., próby zorganizowania badań wysuwane przez Marksa i Engelsa na kongresach Międzynarodówki świadczą dobitnie o tym, jaką wagę przypisywali twórcy socjalizmu naukowemu systematycznie prowadzonym badaniom społecznym. Tu również chciałbym podkreślić konieczność wydobycia tych projektów i wykorzystania zawartych w nich wskazówek metodologicznych do badań aktualnych. W instrukcji napisanej przez Marksa dla delegatów na Kongres Genewski czytamy: „Jednym z doniosłych przedsięwzięć proponowanych przez nas... jest statystyczne badanie sytuacji klasy robotniczej we wszystkich krajach, które powinno być podjęte przez samą klasę robotniczą”. Engels do napisania swej pracy o położeniu klasy robotniczej w Anglii wykorzystywał rozległe materiały a właśnie ta rozległość i wszechstronność badań zapewniła wysoką wartość naukową tej pracy, spowodowała że jest ona wstrząsającym i wszechstronnym obrazem i umożliwiła też książce odegranie rewolucyjnej roli w budzeniu świadomości klasowej proletariatu. W r. 1845 w czasopiśmie „Zwierciadło społeczeństwa” założył stałą rubrykę „Opisy i notatki statystyczne”, gdzie zamierzał publikować nadsyłane korespondencje. Dla korespondentów Engels ułożył szczegółowy program pytań, na które mieli odpowiadać. Zadaniem tych korespondencji była pomoc „... w prawidłowym oświetleniu stosunków społecznych wszystkich klas... wyłącznie na podstawie faktów”.

CZESŁAW SCHABOWSKI

## Odpowiedź

Na przestrzeni ostatnich lat, w niedużej gminie Sobieszów, pow. Jelenia Góra, można zaobserwować tak wielkie tempo przemian, że rozmach ten doprowadza wroga do szału; bo co też nie wyprawiają te „nie umiejące rządzić chamy”!

Gminna Spółdzielnia Zw. Sam. Chłopskiej całkowicie wyrugowała prywatny, spekulacyjny handel i w miarę jak na to pozwalała ogólna sytuacja, placowicy tej spółdzielni zapatrzyły miejscową ludność we wszystkie artykuły pierwszej potrzeby;

— dzieci pracujących w domu przedzwoleń otrzymują dobrą opiekę i wyżywienie w czasie, gdy ich rodzice wypełniają normy i budują na swoim odcinku Plan 6-letni;

— ziemia biedoty i średniaków oraz spółdzielni produkcyjnych gromad Marceje i Goduszyn obrabiana jest już mechanicznie przez sobieszowski SOM;

— szkoły: siedmioklasowa normalna, wieczorowa dla dorosłych, Liceum Rachunkowości Rolniczej, Ośrodek Szkoleniowy Przemysłu Drzewnego przyczyniają się do podniesienia oświaty i wiedzy fachowej, realizując w pełni założenia Planu;

— kosztem półtora miliona zł (w starej walucie) przeprowadzono remont jednego ze starych budynków, w których mieści się obecnie biblioteka, z której młodzież i starsi korzystają jak rok długi;

— w świetlicy tej co tydzień gości kino objazdowe, grają przyjezdne i miejscowe zespoły teatralne, odbywają się często odczyty, dyskusje, zebrania GRN z udziałem mieszkańców Sobieszowa i gromad okolicznych;

— Gminny Ośrodek Zdrowia i przychodnia dentystyczna, to chłuba nie tylko Sobieszowa, ale i powiatu Jelenia Góra: czystość, dbałość o każdego potrzebującego lekarskiej pomocy człowieka, skrupulatność w badaniach i zabiegach — oto cecha personelu lekarskiego i pielęgniarskiego tej placówki;

— w dawnej karczmie - tancbu, dzie otwarto Rejonową Lecznicę Zwierząt, która w akcji hodowlanej potoczyła zastugi nie mniejsze od kom-

„Wysunięte przez Marksa i Engelsa wymagania konkretnego badania zjawisk, traktowanych w ich współzależności, stanowi jedno z najdonioślejszych zasad statystyki marksistowsko - lininowskiej” — stwierdza Kaskarewa. Podobnie stawia sprawę Podwarkow pisząc: „Nie można jednak sprowadzać naukowego znaczenia statystyki tylko do wymagań od niej wiarygodnych, aktualnych liczb, ograniczając jej rolę do biernego ilustrowania zjawisk i procesów, bez wnikania w ich przyczyny i skutki”. Widzimy więc że statystyka bez analizy jakościowej, bez analizy historycznych warunków zachodzących procesów, nie może spełnić ani zadań naukowych, ani spełnić swej roli w procesie rewolucyjnego przebudowania społeczeństwa, kształtowania nowej świadomości społecznej.

3) Statystyka ma bowiem również do spełnienia ważne zadania wychowawczo-polityczne. Powinna ona budzić świadomość klasową proletariatu krajów kapitalistycznych, pokazywać „ruch własnej klasy”. Inne zadania spełnia ona w społeczeństwie radzieckim i krajach budujących socjalizm. Oto co pisze na ten temat Podwarkow: „Zbudowana na podstawie nauki Lenina i Stalina teoria radzieckiej statystyki uogólnia bogate doświadczenia zaczerpnięte z ewidencji procesu budowy najbardziej społecznego ustroju komunistycznego i jest istotnie potężnym środkiem kierowania prawami rozwoju ekonomicznego. Na wszystkich etapach walki o komunizm coraz bardziej wzrasta rola statystyki radzieckiej: 1) w przedstawianiu aktualnego i prawidłowego tętna wszystkich ogniw ogromnego organizmu gospodarki narodowej w jego skomplikowanych powiązaniach i rozwoju, 2) jako podstawowego narzędzia uświadomienia i kierowanego obiektywnej konieczności rozwoju; 3) jako bardzo wrażliwego instrumentu służącego do prowadzenia prawdziwej ogólnonarodowej kontroli toku walki o osiągnięcie celów nakreślonych przez państwowe plany, do wykrycia dodatkowych rezerw i zdolności produkcyjnych oraz do przewidywania zahamowań i dysproporcji, 4) w badaniu praw przyrody dla maksymalnego rozwoju produkcji sił kraju socjalizmu”.

Zeby statystyka mogła spełnić te zadania musi stać się dostępną dla mas. Nie może spełniać tej roli wiedza operująca analizami matematycznymi, lecz tylko wtedy, jeżeli znajdzie odbicie na łamach prasy, w sprawozdaniach i raportach, w korespondencjach takich, jakie pisał już kiedyś Engels. I właśnie dlatego, że broszura omawiana wskazuje drogi dla statystyków, pisarzy i korespondentów, jak statystykę można uczynić narzędziem poznawania i przekształcania społeczeństwa, należy ją polecić szerokiemu kręgowi czytelników.

Jan Szczepański

traktującej ponad plan Gminnej Spółdzielni Samopomoc Chłopskiej;

GRN Sobieszowa wspólnie z ZMP przeprowadza stale akcje: sanitarne, zbiórki złomu, skupu itd. itd.;

Podstawowa Organizacja Partyjna i ZSL, organizacje polityczne, pod których kierownictwem tyle już zrobiono, wspólnie czuwają nad dalszym rozwojem Sobieszowa, czego dowodem jest założenie w tym roku spółdzielni produkcyjnej we wsi.

Nie pomogły tu wrogowi żadne, najbardziej fantastyczne bajeczki o „kołchozie”; przykład spółdzielni produkcyjnej w gromadzie Marceje, (o której „Wieś” wiosną wydrukowała swój reportaż pt. „Dojarka Ludwickowa”) oraz przykład spółdzielni w Goduszynie, o której też szeroko opowiadano w radio i prasie — wstrząsają z każdym rokiem dobrobyt spółdzielców — wytrąciły z rąk klasowego wroga najeźdźcy używaną przez niego do tej pory broń — plotkę.

Bandyta sięgnął do starego arsenału: ledwo spółdzielcy Sobieszowa zorganizowali się i zwieźli do jednej stodoły cały jesienny zbiór siana — za parę dni wrogi klasowy zagwał i zatakował tę nową placówkę dobrobytu i szczęścia: siano spłonęło nieomal w tym czasie, kiedy kula tego samego mordercy zabiła naszego towarzysza — Martykę.

Przełożył się wróg: to nie rok 48 czy 49, kiedy taka spółdzielnia, kto wie, czy nie rozciąlały się na jakiś czas.

W roku 1951 spółdzielcy Sobieszowa dają bandycie taką odpowiedź: sprzedają państwu tyle zboża, iż o Sobieszowie podczas akcji skupu mówią cały okręg, o spółdzielcach Sobieszowa pisze wrocławskie „Gazeta Robotnicza”, stawiając ich jako przykład w realizacji planu skupu. A najbardziej charakterystyczny jest fakt, że spółdzielnia ma już ubyc członków przybyło — czterech nowych!

Chociaż na skutek spalenia całego zbioru siana trudniej będzie „wyprodukować masło i mięso” — jednak na każdy, najmniejszy atak wroga — takie odpowiedzi będziemy dawać zawsze! Więcej chłopów i spółdzielni, więcej produktów dla klasy robotniczej i miast!

Czesław Schabowski

# 50-ta rocznica urodzin Fadiejewa



Aleksander Fadiejew

**25 GRUDNIA 1901 r.** urodził się Aleksander Fadiejew, jeden z najbardziej czołowych i popularnych pisarzy radzieckich. Nie ma czytelnika w Związku Radzieckim, który by nie znał książek Fadiejewa. Ale i poza granicami Związku, wszędzie tam, gdzie dzieło pisarza wspięła walkę o pokój i wolność, czytają i kochają „Młoda Gwardia”. Fadiejew pokazał piękne charaktery młodzieży radzieckiej, ujawnił wysoki wartości moralne, patriotyzm i bohaterstwo powstałe w warunkach ustroju socjalistycznego. Szlachetny to wzór do naśladowania i skarbnica cennych przykładów, które pozwalają kształtować młodzież. Szczególnie w obecnej chwili u nas w Polsce w warunkach naporu wroga klasowego i odcinek młodzieżowy „Młoda Gwardia” stanowi dzieło o olbrzymiej doniosłości wychowawczej.

Dzieciństwo i lata chłopięce spędził Aleksander w Dalekim Wschodzie. W 12-letnim wieku przeszedł do Moskwy, gdzie wstąpił do partii. W latach 1919 — 1921 bierze udział w bolszewickiej partyzantce na Syberii, walczy w szeregach Czerwonej Armii. Przeżył kilka okresów w więzieniach i w obozach. W 1922 — 1923 powstaje powieść „Wylew”. W r. 1924 powieść „Pod prad”. W r. 1927 ukazuje się „Kłeska”, która przynosi pisarzowi szeroką poczytność oraz popularność i stawia go w

pierwszym szeregu literatury radzieckiej. W okresie 1930 — 1936 Fadiejew zaczyna pisać powieści „Ostatni z Udege”, powieści obszerną, zakończoną szeroko i dlatego jeszcze nie ukończoną.

Za swą pracę literacką Fadiejew został odznaczony orderem Lenina, wybrany prezesem Związku Pisarzy Radzieckich i wchodzi do Rady Najwyższej Związku Radzieckiego.

Będąc członkiem KC WKP(b) i jednocześnie przewodniczącym Związku Pisarzy, Fadiejew skutecznie kieruje życiem literatury radzieckiej i spełnia zaszczytną rolę pisarza w walce o pokój i komunizm.

W 1945 ukazała się najgłośniejsza powieść Fadiejewa „Młoda Gwardia”. Odnależona nagrodą Stalinowską powieść ta uzyskała niebywałą popularność tak w Związku jak i poza jego granicami. Stanowi ona historię walki młodzieży radzieckiej z hitlerowskim okupantem i opierając się na materiałach dokumentalnych, wydobytą z nich zarządem typowe: ideaowość, patriotyzm i bohaterstwo młodzieży radzieckiej.

Przed ośmiu laty uczestnicy komunistycznej organizacji młodzieży „Młoda Gwardia” otrzymali zaszczytny tytuł BOHATERÓW W ZWIĄZKU RADZIECKIEGO. Odnależenie to zostało nadane pośmiertnie. Dziesięć młodzieży zginęło w walkach z hitlerowskim faszystem. Ale nie przemijające jest: ofiarność i bohaterstwo, jakie cechowały O. Koszewoju, U. Gromową, L. Szewcową, S. Tułenina i innych. Ten właśnie wysoki przykład patriotyzmu, ofiarnego ukochania ojczyzny został otoczony powszechnym uznaniem i miłością narodu radzieckiego oraz całej postępowej ludzkości.

Przypomnijmy pokrótce bohaterką działalność „Młodej Gwardii”. 20 lipca 1942 r. hitlerowcy zajęli miasto Krasnodon, położone w Zagłębiu Donieckim. W sierpniu bestialscy najeźdźcy żywym zakopali w parku miejskim 58 ludzi. Nastrój młodzieży radzieckiej wyraził wtedy najlepiej Oleg Koszewoju, wołając: „Nie podobna dłużej tego cierpieć! Szesnastoletni młodzieniec zawiązuje organizację podziemną; w sierpniu liczy ona 103 młodych komunistów. Jacy to byli młodzieńcy i jakie dziewczęta! Oto portret Koszewoju: sportowca, szachista, redaktor szkolnej gazety, uroszył się do strzelca, poeta, miłośnik literatury, szczególnie klasyków europejskich i Gorkiego. W tym portrecie poznajemy rysy młodzieży radzieckiej, u której ustrój socjalistyczny wykształcił naj-

lepsze cechy: PATRIOTYZM, MIŁOŚĆ NAUKI I SZUKI, SPRAWNOŚĆ FIZYCZNA, AKTYWNA POSTAWĘ WOBEC ŻYCIA.

Przez cztery miesiące „Młoda Gwardia” zadawała celne ciosy okupantom, napadła na hitlerowców, niszczyła wroga i gromadziła broń, żeby wywołać powstanie w chwili nadejścia Armii Radzieckiej. Ale na miesiąc przed jej przyjściem, w styczniu 1943 r., organizacja została ukryta. Zaledwie ośmiu ludzi ocalało. Olbrzymia większość jej członków zginęła w straszliwych torturach z rąk gestapo. Zginęła bohaterko z piękną na ustach, nie wydając tajemnic walki niepodległościowej. Dopiero 19 marca 1943 r. odnależono zwłoki Koszewoju. Nosiły ślady okrutnych tortur: oko wykute, uszy osiwiałe, na piersi wypalony ogniem numer komсомольskiej legitymacji. Zginął w straszliwych męczarniach, ale nie ułaski się śmierci i nikogo nie wydał.

Znakomity pisarz radziecki A. Fadiejew opisał w swej książce pt. „Młoda Gwardia” te wydarzenia i fakty, ukazując je na tle walki całego narodu radzieckiego o wolność. Służenie w cechach indywidualnych, autentycznych bohaterów powieści wykrył cechy typowe. W „Młodej Gwardii” odzwierciedlił i ukazał młode pokolenie radzieckie, promieniujące wartościami moralności socjalistycznej, pełne wysokie, bezgranicznej miłości dla człowieka.

Zmagając się z faszystem Koszewoju, Szewcowa, Gromowa i inni, wiedzieli, że walczą, aby pokonać faszystów i przynieść światu wyzwolenie i pokój.

Przykład bohaterów „Młodej Gwardii” jest potężnym czynnikiem mobilizującym, ma wielkie znaczenie i dzisiaj, wobec niecyf, zbrodniczych prób rozpętania nowej wojny przez imperializm amerykański. Życie i śmierć komсомольców Krasnodonu świadczą o tym, ile bohaterstwa i patriotyzmu, ile gotowości do walki w obronie ludzkości tkwi w młodym pokoleniu. Ten zapał i bohaterstwo są rękojmią zwycięstwa, a zarazem stanowią groźną przestrożę dla agresorów.

Bohaterowie „Młodej Gwardii” żyją w naszych sercach, porwijają swym ślachetnym, bojowym przykładem, wychowują i jednoczą młodzież w walce o pokój. Wraz z nimi wszyscy skupieni wokół sprawy pokoju, wołają głośno i zdecydowanie: NIE POZWOLIMY NA NOWĄ RZĘZ, OBRONIMY DZIEŁO POKOJU!

Grzegorz Timofiejew.

MARCELI RANICKI

## NOWE TEMATY W LITERATURZE NIEMIECKIEJ

O ile jeszcze w pierwszym okresie powojennym problematyka hitlerizmu wyraźnie dominuje w postępowej literaturze niemieckiej, o tyle w ostatnich dwóch latach zaobserwować możemy zwrot ku nowej tematyce. Problemy, jakie wytworzyła budowa demokratycznego państwa na zgliszczach hitlerizmu i walka z anglo-amerykańskim imperializmem, kontynuujemy w Niemczech Zachodnich najgorsze tradycje faszystowskie — oto najistotniejsze sprawy, domagające się artystycznego odbicia i ukształtowania we współczesnym piśmiennictwie niemieckim.

Willi Bredel, pisarz rewolucyjny, którego każda niemal książka to jakby jedno z ogniw ogromnego dzieła, obrazującego historię niemieckiego ruchu robotniczego od czasów Biebia po dzień dzisiejszy, Bredel, słusznie należałoby także i u nas do najpopularniejszych współczesnych pisarzy niemieckich — jest autorem pierwszego utworu powojennej literatury niemieckiej, poświęconego całkowicie nie obrachunkom z przeszłości, a nowej rzeczywistości niemieckiej. Jest to wydana również w tłumaczeniu polskim książka o zniszczeniu przez powódź tyruńskiej wsi Eruchstet i jej blyskawicznej odbudowie przez Wolną Młodzież Niemcoką, reportaż „50 dni”.

Nową tematykę, ukazującą istotę procesów społeczno - politycznych zachodzących we współczesnych Niemczech, podjął także utalentowany pisarz, były bojownik Międzynarodowej Brygady w Hiszpanii, Edward Claudius. Dał on w nieprzełożonych jak dotąd na polski język kach o charakterystycznych tytułach „Vom schweren Anfang” („O trudnym początku”) i „Menschen an unserer Seite” („Ludzie po naszej stronie”) plastycznie odmalowany obraz niemieckiego racjonalistów i przedsiębiorców pracy, ludzi zdających ku nowemu życiu i czynnemu udziałowi w budownictwie państwa demokratycznego.

O zwróceniu zainteresowań ku nowej tematyce, jaką otworzyła rzeczywistość powojennych Niemiec, świadczy także dwa niewielkie utwory młodych pisarzy niemieckich, którzy ukazywali się ostatnio w polskich tłumaczeniach, a mianowicie Herberta Langera „Odnalazłem siebie” i Petra Wippa „Rozstajne drogi”.

Herbert Langer: „Odnalazłem siebie”, tłumaczyła z niemieckiego Maria Gero, okładka i ilustracje Mięczyłowa Kołczyńska, str. 91. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa 1951 r.

Peter Wipp: „Rozstajne drogi”, tłumaczyła z niemieckiego Maria Wisłowska, str. 126. Spółdzielnia Wydawnicza Oświatowa „Czytelnik”, Warszawa 1951.

Herbert Langer postawił sobie w opowiadaniu (niestudnie zresztą na stronie tytułowej polskiego wydania nazwanym „powieścią”) trudne i ambitne zadanie. Chce on bowiem ukazać typową drogę rozwoju przeciętnego robotnika w podzielnym na strefy powojennych Niemiec. Słusznie Peter Bohland wrócił z brytyjskim sektorze Berlina nie może on przyjąć pracy w radzieckiej strefie, a w zachodnich sektorach nie może dostać pracy ani w swoim zawodzie, ani w żadnym innym. Bohland znosi rozczarowania i upokorzenia, przeżywa tragedię człowieka, który czuje, że jest ciężarem dla swojej rodziny, że nikomu nie jest potrzebny. Wreszcie Bohland udaje się do Halle (w ówczesnej radzieckiej strefie), gdzie otrzymuje pracę w uspołecznionej fabryce. Tam opiekuje się nim stary KPDowiec majster Otto, obecnie aktywny działacz SED. Bohland odnajduje siebie w tym swoim wysiłku dla dobra ogółu, wstępuje do SED i bierze czynny udział w unieszkodliwieniu akcji sabotażowej która zostaje dokonana w tej fabryce za sprawą byłego właściciela, obecnie przebywającego w amerykańskiej strefie. — Oto nieskomplikowany watek fabularny tego opowiadania.

Utwór Langera pokazuje we właściwym świetle ideologicznym sytuację „szarego człowieka” w pierwszych latach powojennych Niemiec, daje tralne klasowe ujęcie stosunków panujących w tym okresie. We wstępnej części utworu, napisa- nego w pierwszej osobie, w formie jakby bezpośredniej rozmowy bohatera z czytelnikiem, autorowi udaje się dość plastycznie i przekonująco o wywypukłej tragedii bezrobotnego inwalidy, którego los nikogo w Niemczech, kupowanych przez anglo-amerykańskich imperialistów, nie obchodzi. Niektóre fragmenty, niekiedy sceny zdradzają pióro pisarza, który potrafi wyrazić narysować typowe momenty i sytuacje.

Gorzej przedstawia się sprawa, gdy Bohland przybywa do Halle i rozpoczyna nowe życie. Tu autor uprościł sobie zadanie. Deklaracja czestokrotne zastępuje właściwy wyraz artystyczny, a rysunek postaci i zaznaczających się między nimi konfliktów jest powierzchowny i płytki. Kończący wreszcie rozdział, zawierający opis akcji sabotażowej i jej unieszkodliwienia, zadziwił a brakimi inwencji autora: watek sensacyjny jest prymitywny i naiwny, rozwiązanie sztuczne i nieprawdliwe.

Niemniej stwierdzić należy, że książka Langera daje w pewnej mierze wgląd w problematykę po-

wojennych Niemiec i jako taka jest — mimo znacznej niedojrzałości literackiej — także i u nas pożyteczną.

Do młodego pokolenia pisarzy Niemieckiej Republiki Demokratycznej należy również Peter Wipp, autor szczególnie plodny. Wipp rozpoczął od pracy dziennikarskiej. Jego krótkie opowiadania i reportaże, publikowane w różnych piśmiech NRD, zyskały mu szybko siew jednego z najdonioślejszych felietonistów i reportażystów demokratycznej prasy niemieckiej. Pierwsze książki Wippa wykazują jeszcze poważne braki artystyczne i ideologiczne. Autor w utworach tych („Bonnes”, „Ein Junge namens Peps” i innych) nie może się uwolnić od wyraźnych wpływów naturalistycznych, trudne zagadnienia traktuje pobieżnie, postacie rysuje schematycznie.

W tomiku „Rozstajne drogi” poznajemy Wippa jako autora miniaturowych opowiadań, migawek z codziennego życia dzisiejszych Niemiec. W obrazkach tych Wipp niewątpliwie wykazuje dojrzałe opanowanie zwyczajnej formy, wykazuje umiejętność oszczędnego operowania językiem. Poszczególne migawki często krótko zadziwiają ostrością obserwacji i trafnością sformułowań. Poszukiwanie oryginalnych rozwiązań i efektownych point sprowadza jednak autora niekiedy na manowce. Tak na przykład w obrazu „Buschorn tancerzy na szkiele” Wipp wpada w tani symbolizm. W innych znowu obrazkach razi zbyttna naiwność (migawka „Gdybym tylko miał ołówek” lub „Z prośbą”).

W większości jednak migawek zawartych w tym zbiorze autor potrafił uchwycić typowe sytuacje w dzisiejszych Niemczech, ciągle jeszcze dzielonych przez anglo - amerykańskich imperialistów na strefy i sektory, potrafił nielicznymi kreskami wyrazić narysować postacie charakterystyczne, prawdziwe i typowe. Takie opowiadania jak np. „Pierwsza i ostatnia armata”, a zwłaszcza wzruszająca scena „Stary fotel”, pozostają w pamięci czytelnika i pozwalają przypuszczać, że autorowi uda się opanować także większe formy literackie, że nazwisko tego zdolnego pisarza jeszcze niejednokrotnie usłyszymy.

Zarówno książka Langera jak i książka Wippa — mimo różnych braków i niedociągnięć — ułatwiają nam zrozumienie przemian, jakie zachodzą w Niemieckiej Republice Demokratycznej, naszego sprzymierzeńca w walce z amerykańskim imperializmem, naszego sprzymierzeńca w walce o pokój.

Marceli Ranicki

\*) Marksizm — Leninizm a statystyka. Biblioteka Statystyki. XV. Polskie Wydawnictwo Gospodarcze, Warszawa, 1951. Str. 103. Przekład z języka rosyjskiego pod redakcją dra Kazimierza Romanuka.

STEFAN WALICKI

## Kino wrogiem życia kulturalnego?

Wydawało się nam dotychczas, że film jest jednym z najpotężniejszych środków oddziaływania kulturalnego, że świetlica czy dom kultury, który nie rozporządza kinem jako jednym ze środków oddziaływania, traci znacznie na swej sile atrakcyjnej, zubożając życie kulturalne mieszkańców danej gromady czy gminy.

Okazało się, że byliśmy w błędzie. Okazało się, że film jest wrogiem życia kulturalnego. Tak przynajmniej wynika z korespondencji kol. Jelonek z Porąbki koto Sosnowca.

„Jest we wsi Porąbka dom gromadzki. Znajduje się w nim duża sala teatralna ze sceną i pokojem za sceną. Jest duży korytarz i trzy pokoje na parterze oraz dwa pokoje na piętrze. Pomieszczeń jest dość ale też nie ma organizacji je zajmują. Mieści się tu ZSCH, Liga Kobiet, ZSL, ZMP i LZS. Była nawet świetlica gromadzka, a w niej gry i radio używane przez ZMP. W domu gromadzki wrzono życie. Wieczorami pełno tu było młodzieży, tu również odbywały się wszelkie zebrania, tu koncentrowało się całe życie kulturalne gromady. Tak było jeszcze przed rokiem. Później jakoś zaczęło to uciechać, zasypiać. Naprzód zrobiło się pustą w świetlicy, bo kto by tam zechciał iść do świetlicy czy na zebranie, kiedy kino gra taki śliczny obraz. Bo salę teatralną trzy razy w tygodniu zajmowało kino wiejskie, od roku przeniesione tu z innego zniszczonego na skutek nieremontowania przez szereg lat, lokalu”.

Rozpoczęły się narady w Porąbce nad zmianą tego stanu rzeczy: „rada w radę — pisze kol. Jelonek — postanowiono, że ponieważ umowa z kinem wygasła w czerwcu, więc kino stosownie do umowy ma sobie wyreperować podniszczony budynek kinowy a lokal domu gromadzkiego opuścić, gdyż zajmowanie sali teatralnej i całego parteru przez każdą sobotę i niedzielę, upłynęło na poważne osłabienie życia organizacyjnego i nie przyniosło spodziewanych dochodów gwarantujących samowystarczalność domu... Jeśli więc kino nadać będzie istniało w domu gromadzki, to żadna organizacja nie będzie mogła urządzić zabawy, czy przedstawienia, nie mówiąc już o masowych zebraniach”.

Wynika więc jasno, że wrogiem nr 1 całego życia kulturalnego i organizacyjnego gromady Porąbka stało się nieoczekiwanie nieszczerne kino.

Kolega Jelonek zna życie swej gromady, umie dostrzec nurtujące ją przeżycia, b"rze czynny udział w jej życiu społecznym. Ta ostatnia jednak korespondencja jest wymownym dowodem, jakie zamieszanie pojęć panuje obecnie w terenowych placówkach życia kulturalnego, jak pozbawione są one opieki materialnej. Podobne sygnały otrzymujemy bowiem niestety od wielu innych gromad. Dom gromadzki skupiający całe życie kulturalne i organizacyjne gromady w wielu wypadkach nie posiada na obecną zimę opału i nie posiada żadnego fachowego personelu, gdyż już w zeszłym roku ZSCH stracił fundusze na opłacenie kierowników świetlic i wiejskich domów kultury.

Rezultat jasny: nieczynna świetlica, w której pozostają gry (co z radiem, nawet nie wiadomo). Biblioteka świetlicowa licząca około 600 tomów — zamknięta na klucz, zamarto kółko szermierze i samokształceniowe ZMP, kasa domu tak pusta, że nawet winna jest dorozczy za kilka miesięcy, dziura w dachu, z której coraz więcej zaczyna kapkać na podłogę, co daje pewność, że jeśli tak dalej pójdzie to cały sufit zwał się na głowę. I wreszcie jako najgorszy rezultat przekonanie: „że gdyby usunąć z domu kino to znów zaczęłyby się przedstawienia na scenie, wieczorki artystyczne, zabawy, które dadzą pokazywać dochód na potrzeby domu... a zaś idąc na zebranie utykają ludzie już na parterze w tłumie oczekujących pod kaską kina i tam zostają a zebrania i świetlica świecą pustkami”.

Widać z tej korespondencji, jak bardzo potrzebna jest komasacja i zespolenie pracy kulturalnej w terenie. Nie może dłużej trwać ten stan rzeczy, że film, biblioteka, świetlica, radio, życie teatralne itp. chodzą własnymi ścieżkami, często gryząc się ze sobą i przeszkadzając sobie wzajemnie. Zbyt wiele miliardów złotych wydaje się dzisiaj w Polsce na kulturę, aby pozwolić na takie marnostrawstwo. Racjonalna organizacja życia kulturalnego w terenie w jego podstawowych ośrodkach: świetlicach, domach gromadzkich i domach kultury jest niezbędnym warunkiem rozpoczęcia w terenie w okresie bieżącej zimy wielkiej ofensywy kulturalnej w całym kraju. Bez tej ofensywy kulturalnej, wykonanie wielkich i trudnych zadań trzeciego roku Planu 6-letniego w dziedzinie produkcji musiałyby stanąć pod znakiem zapytania.

Stefan Walicki.

# Gazetka gminna

## W imieniu gromady

My, chłopie gromady Bytowice, gminy Kamięnsk w powiecie piotrkowskim zawdzięczamy wiele wiedzy ludowej.

Pamiętamy jak to było np. przed wojną ze sprzedażą tuczniaków.

Kupił chłop za 60 zł świnie, hodował ją 3 miesiące i gdy wyprowadził świnie na targ, handlarze dawali mu za nią 60 zł albo i jeszcze mniej. Za darmo więc chłop przez 3 miesiące karmił świnia, nie licząc pracy włożonej w wyhodowanie go.

Dzisiaj za tuczniaki otrzymujemy stałą i korzystną dla nas cenę, bez względu na to, czy jest mała podaż na szpedzie czy też duża.

Dzięki rozwojowi przemysłu, dzięki powstawaniu olbrzymich fabryk, jak np. w naszym powiecie kombinat piotrkowski, na wsi nie ma już niepotrzebnych ludzi, tzw. zbędnych rąk, jak nazywano ich przed wojną. W czasach sanacyjnych olbrzymia większość chłopów naszej gromady żyła w nędzy i ciemności. O szkole i o pracy w mieście nie można było nawet marzyć. Dzisiaj 29 mieszkańców naszej gromady pracuje w przemyśle, 12 synów i córek chłopskich uczęszcza do szkół średnich, a 1 uczy się na uniwersytecie.

Z Łapanowa niedaleko do sąsiedniej Wolicy, Grabia, Kłęczan i Sobolowa. Gromady te nie różnią się od siebie. Wszystkie zajmują podobne tereny górskie, zamieszkiwane przez mało i średniorolnych chłopów.

A jednak kiedy już w wrześniu chłopci z Wolicy i Grabia byli daleko zaawansowani w realizacji planowego skupu zboża, to gromady: Kłęczany i Sobolów nie docierały jeszcze do 40 proc. rocznego planu. Podobnie z akcją kontraktacji trzody chlewnej.

Dlaczego tak się dzieje? Brak akcji uświadamiającej? Nie. Miejscowi aktywiści partyjni, ZMP-owcy i radni GRN agituja na całego pośród chłopów, uświadamiając ich o korzyściach, jakie daje kontraktacja. Wyniki tej pracy są jednak bardzo znikom. Dlaczego? Bo się na gadaniu kończyło. Na przeszło trzydziestu radnych kontraktuje tuczniaki zaledwie czterech.

Tu leży pies pogrzebany! Zapewne nie zdają sobie panowie radni z tego sprawy, że najlepszym argumentem w agitacji jest dobry przykład. Oto Władysław Mróz z Ubrze-

## W Murzynku

W Murzynku chłopie powszechnie wiedza, jak czulam jest Michał Karaś na punkcie terminowego placenia podatków i w ogóle wywiązywania się z wszelkich powinności względem państwa.

Toteż zdarza się czasem, że ten i ów, chcąc wyciągnąć Karasia na słówka, spyta, niby nie wie dzicy: „Jak tam — Karaś, odstawiłeś już zboże i ziemniaki?” Karaś spogląda złym okiem na pytającego i cały zarzewiony od niego odpala: „Za kogo wy mnie macie, obywateli? — Ja Karaś, miałbym nie sprzedać państwu wyznaczonego mi zboża i ziemniaków w terminie? Sprzedałem po pierwsze przed terminem, po drugie z nadwyżką, a po trzecie już dawno zapomniałem o tym”.

— „Tożście się pośpieszyli. A parcie tylko, ilu to jeszcze chłopów zwleka z dostawą?”

— Zwlekają, bo głupie, bo nie rozumieją swego dobra” — rzuca Karaś gniewnie — „Oj zapomnieli już, jak to było za sanacji! przed wojną, gdy u ubożego chłopca komornik prawie, że nie wychodził z chaty. Trzeba było płacić i płacić bez miary. Bo i było tych podatków wyżej usu! A różne, do cholery, że i nie spamiętasz. Gruntowy i dodatkowy,

## Kłosa i osty

Niedaleko od szosy na czternastym kilometrze od Radomia rozłożyła się wieś Kuczki.

Na apel władz państwowych w sprawie skupu zboża reakcja mieszkańców wsi była rozmaita.

„Choćby przyszło kupić na wiosnę to jednak teraz trzeba odsprzedać Państwu” — pierwszy odzywa się Jaroszek Bolesław — mający 2 ha ziemi. Wielu przyswiadczyło jego słowom, inni patrzyli jak zachowują się miejscowi bogacze. I długo nie czekali, bo oto Domagała Stefan, mający 11 ha dobrej ziemi tak rezonuje: „Jeżeli ja mam odstawić metr żyta za 63 złote, a kupić na wiosnę za 200 złotych — to niech lepiej ono u mnie poczeka”.

Tyle już odbyło się zebrania gromadzkie, tyle kłótni, tyle przekonania — a bogacze nadal uparcie wykpiwają się, a nawet drwią z tych co odstawił: „Przyjdzie wy na wiosnę do nas kupić”.

Akcja cała szła dość opornie — wieś zrealizowała mały procent planu — toteż miejscowe harcerstwo chcąc zawstydzić bogaczy, a równocześnie pochwalić tych, co odstąpiło zboże — narysowało afisz, przedstawiający z jednej strony piękne kłosa, a wśród nich nazwi-

Rozumiemy, że obowiązkiem naszym jest brać udział na równi z robotnikami w budowaniu silnej i bogatej Ojczyzny Ludowej.

Ten nasz udział, to podniesienie wydajności gleby, rozwinięcie hodowli oraz sumienne spełnianie powinności wobec naszego państwa.

A więc, roczny plan skupu zboża zrealizowaliśmy w 103 proc., jesienią plan sprzedaży ziemniaków wypełniliśmy w 100 proc., oraz wplaciliśmy należności z tytułu podatku gruntowego i wszystkie raty Narodowej Pożyczki.

Wypełniliśmy także jako jedni z pierwszych nasz obowiązek kontraktacji trzody chlewnej na I półrocze 1952 roku.

Wiemy bowiem, że ludność miast potrzebuje coraz więcej mięsa i tłuszczów i że hodowla przynosi nam poważne korzyści.

Kulacy usiłowali nam jednak mówić, że hodowla nie oplaca się. Dzięki jednak organizacji partyjnej naszej gromady, Kolu Gromadzkemu ZSCH, których członkowie dokładnie wyjaśnili nam, z jakich ulg korzystamy, otrząsnęliśmy się z tej wrogiel nam propagandy kulackiej.

Józef Rył

## Metodą walki — przykład

ży, Władysław Jonak z Jarosówki, aktywistka Kola Gospodyń w Kamyku, Maria Ziolkowska, Maria Izdebska z Wolicy i inni, którzy posiadają po kilka hektarów ziemi, a dotąd nie zakontraktowali jeszcze ani jednego tuczniaka. Idąc za złym przykładem radnych, chłopci z Kamyka, Jarosówki, Kłęczan i Sobolowa mało kontraktują świń, natomiast często sprzedają je na jarmarku w Łapanowie lub Gdowie. Np. taki Sotola z Grabia krzyczy, że nie ma świń do kontraktacji, a stado wala się w błocie na jego podwórzu. „Wy nie kontraktujecie, a n'cie każecie?” — odpowiada radnym z gminy: — Dajcie my sami najpierw przykład”.

Taki stan nie może dalej istnieć. Radni z Łapanowa zmienić swój stosunek do kontraktacji. Za wzór powinni wam posłużyć pracownicy Gminnej Spółdzielni, którzy sami we własnych gospodarstwach wcześniej zakontraktowali 17 sztuk, a później dopiero poszli zawierać umowy z chłopami. Pierwszym dobrym przykładem Prezes Spółdzielni, ob. Stanisław Wójciewicz i Flor Chajdo.

Marian Piotr Płatek

## Bogaćka i średniacka świadomość

Kulak Brudnicki z gminy Tłuchowo, pow. lipnowskiego ma podobno wykształcenie prawnicze.

Jakoś zaraz po wypadkach gryfickich nadeszedł do Komitetu Powiatowego list, w którym pisząc o dziejącym mu się krzywdzie, delikatnie dawał do zrozumienia, że niby w jego gminie przestrzeganie praworządności jest bardzo wątpliwe.

„Etap obecny — pisał — nie jest etapem likwidacji kulactwa jako klasy”, dlatego on uprzejmie prosi o „ustosunkowanie się i zbadanie sytuacji”.

Mógłby pomyśleć, że Brudnicki laskawie zwrócił uwagę Komitetowi na wypaczenie w pracy politycznej na terenie gminy Tłuchowo.

Ale nie o to chodziło kulakowi.

Spoza sztych grubymi niemi rozumowaniami na temat historyczności „nowego” etapu walki klasowej wyzierała delikatna forma szantazu. Mała prowokacja. „Co też oni powiedzą po tych Gryfickach” — myślał sobie Brudnicki.

Teoretyczne rozważania i forma szantazu zawiody go jednak zupełnie. W czasie tegorocznej akcji skupu za niesumienność wobec państwa i łamanie praworządności ukarany został grzywną w wysokości 4 tys. złotych.

Kompan Brudnickiego 38 hektarów Obornikowicz, który widział w nim opatrnościowego męza kucacza na szczeblu gminnym szedł ślepo tej samej linii. Tak samo jak on zaczął sabotować zarządzenia władzy ludowej i w podobny sposób został ukarany.

Jakże inaczej wygląda 7 hektarowy chłop z gminy Bobrowniki — Franciszek Dąbkowski!

Przed wojną służył jako fernal w majątkach obszarniczych. Kilka lat jeździł w 4 konie u pana na Komorowie. Kiedy przypomniał sobie te czasy staje mu w oczach długi obdrapany czworak i podwórze majątku w Komorowie. Cieknie było życie fernala u dziedzica Komorowskiego. Robota od świtu do nocy i najgorsza ze wszystkiego niepewność jutra, bo dziedzic w Komorowie ordynarię dawał kiedy mu się podobało, w zależności od kaprysu.

Dziś w Polsce Ludowej Dąbkowski jest gospodarzem.

W 1945 r. kiedy brygada robotników krajała poobszarniczą ziemię — Dąbkowski otrzymał jako jeden z pierwszych 7 hektarów.

6 lat już na nich gospodarzy. W tym roku za wzorowe wywiązywanie się ze świadczeń na rzecz państwa Franciszek Dąbkowski został odznaczony przez Prezydenta R. P.

Franciszek Pułowski

Irena Mazurkiewicz

## ON — BIEDNY — DAĆ NIE MOŻE

„On — biedny — dać nie może!”

Narzeka stale, bład, Uskarża się, zlorzczy, Uskarza rad niejednen wiedzieć.

Czy źle mu — w samej rzeczy?

Trzydzieści ha ma ziemi

Pszennej i buraczanej,

Leż, gdzie mu się udaje,

To się wykreca — sianem.

Pięć krówek porykuje

U źłóbka mu, w obrze,

Leż miska on do zlewni

Nie daje — dać nie może!

Dla domu i chudoby

Potrzeba mu — i basta!

A cóż go to obchodzi,

Ze mleka trza dla miasta!

Głószek zżarł mu rzepak.

Pomór wyniszczył trzode.

Ach, biedny, nieszczęśliwy —

Niedługo zemrze głodem!

A jak to jest naprawdę?

Sam ubił kilka świnek.

Narobił saleosonów,

Nawędził kielbas, szynkę,

„Zwał się” to że spekulantem,

„Ciechem” to przehandlował,

(By jeśli miał co robotnik,

Jego nie boli głowa).

Hoduje, produkuje.

Pcha w śpiżnie i komory,

Leż FOR-u, ni podatku,

Nie wplacił do tej pory.

Miał właśnie rzepak sprzedać

I długi te zapłacić,

Jakże zapłacić może,

Gdy wszystek rzepak stracił?

Skąd weźmie? — nie ma!... nie da!

Pieniędzy nie urodzi.

Nieprawda! — zebrał, sprzedał.

Cheć państwo okpić — złodziej!

Ziemniaków nie odstawił:

Może mu „się upieczę?”

Kwintali — na skup zboża,

Jak na śmiech, kilka wleze.

Nie zmłócił! — czym ma zmłócić?

Na SOM-y ciska gromy.

A komplet omłotowy.

Swoj — ma pod sterłą słomy.

Ega, kręci, oszukuje.

Nie ujdzie płazem mu to:

„Nie ma!”... nie da!... nie może!...”

Sprawdził to egzekutor,

Pod grzybą egzekucja,

Wyrzebile to, co ciula..

Okaze się, że może,

Ze da, choć nie chce — kulak!

Irena Mazurkiewicz

NASZE ROZMOWY

## Ja, czy my?

Szanowny soltyś Rypalski! Ze wzruszeniem przeczytaliśmy Wasz list, pisany ręką, która sto razy częściej i dłużej trzymała plug, niż pióra.

Pózwólcie, że powtórzmy czytelnikom Wasze osobiste dzieje, a potem społeczne — gromady.

Mieszkanie w pow. Łask, gm. Władawa, we wsi Osieczno. Macie własnej ziemi 1 ha, dzierzawicie 2,5 ha. W rodzinie 6 osób. Najstarsza córka, 15-letnia, kończy szkołę podstawową. Dwoje następnych (13 i 10 lat) również w szkole, najmłodsze (6 lat) w domu.

Jesteście członkiem ZSL-u, jesteście w ORMO. Prezesujecie w kole ZSCH. Wybrano Was na męża zaufania od kontraktacji buraka cukrowego, także od kontraktacji zboża, ziemniaków i nasion oleistych, zostaliście kierownikiem grupy hodowców.

Jak widać z tych „urzędów” w Waszym ręku skupia się nie tylko organizacja administracyjna gromady ale również gospodarce, polityczna, nawet kulturalna. Pracujecie co najmniej za 6-ciu aktywistów, z których każdy miałby nie mało roboty w swoim kole, czy w swojej grupie.

Jakie tej Waszej pracy są wyniki? Wieś wasza jest najbardziej biedna w gminie, a mimo to już do 15 września podatek gruntowy spłaciła w całości. Skup zboża i kartofli wykonała w 100 procentach do połowy listopada. Osiągnięcia imponujące.

Cieszymy się też wraz z Wami z odznaczenia, jakie otrzymaliście.

Cieszmy nas również i wzrusza zapobiegliwość o potrzeby gromady. Od znaczenia bowiem przyjeleście nie tylko we własnym, ale także i w interesie gromady. Zrozumielście odznaczenie, jako zwrócenie uwagi nie tylko na Was, ale i na Waszą patriotyczną gromadę. Wobec czego w liście do naszej Redakcji wystąpiłście z potrzebami swej wsi. Z takimi mianowicie, które zdaniem Waszym państwo ludowe mogłoby zaszkodzić tytułem nagrody udzielonej waszej wsi. Piszecie:

„Gromada moja jest prawie najbardziej biedniejsza w całej gminie a dawno już wywiązała się przed terminem w 100 procentach, ja bym więc prosił Redakcję, aby się przychyliła do tego, aby czemś wynagrodzono moją gromadę. Ja bym życzył sobie założenia telefonu, bo mamy 8 km do gminy. Potrzeba tylko słupa, 15 m. kabla i aparatu. Jakby nie szło z tą sprawą to może jaką maszynę rolniczą np. oplewacz do buraków albo radio albo trochę drzewa na remont świetlicy”.

Nie ma co, „ojciec” gromady to z Was jest. Nawet o nagrodę umieć się upominać, choć jak wiadomo, nagrody na tym polegają, że nie zastużeni je wypraszać ale oceniający zastużonym udzielają nagród. Ci,

## Dziwna wieś,

## czy dziwny korespondent?

Korespondent pokazuje nam, jak Kolesarowa Świetlino, pow. Leżbork, woj. gdańskie przeprowadziła skup zboża. Zaczyna słuszenie od krótkiej historii wsi od 1947 roku. Ale... i tu zaczynają się nasze wątpliwości — bo, co w tej historii uważa za najważniejsze i za decydujące?

Nieładnie i pośpieszne przeprowadzenie osadnictwa na gruntach pomniejszych w r. 1947 („przynawali działki i tym rodzinom, co na gospodarstwie rozumie się tyle co wilki na gwiazdach”), nie fachową i odgórną narzuconą klasyfikację w r. 1949 („w skład komisji wszedł jeden z wieśniaków około 18 lat... ten specjalista poklasyfikował grunt od drugiej do szóstej klasy, wolał — ja tak mówię i musi tak być — i tak zostało do dziś dnia”), opuszczenie gospodarstwa przez osadników i wreszcie fatalne prowadzenie sie sekretarza jednej z działających we wsi organizacji politycznych („pil i oszukiwał ludzi i groził gospodarzom, na kogo miał złość”).

A dalej tak pisze: „zebrałszy to wszystko, można lekko domyślić się, jak przebiega skup zboża w takiej gromadzie”.

Po takim wstępie domyślać można się najbardziej ponurych i okropnych rzeczy. A tymczasem, jak przebiega skup zboża w tej wydawałoby się pozbawionej opieki i źle zagospodarowanej gromadzie? Oddajemy głos korespondentowi: „gromada Świetlino do 20 września br. odstawiła zboże w 70 proc., a obecnie już w 90 proc.”. Ale autora korespondencji wcale to nie cieszy, nie ukrywa swego pesymizmu: „reszta wywiązuje się, ale niestety gospodarzowi chleba zabraknie”. Skóra na nas ścierpa. Czyżby znów jakieś przegięcie w stylu gryfickim, jakaś próba ogłocenia gromady z ziarna? Na szczęście, sam autor (niechętnie przewidując), ale nas trochę pocieszył, pisząc parę wierszy dalej: „podczas zebrania gromadzkich w sprawie skupu zboża gospodarze z naszej gromady choć widzieli, jak lichy stan im zostaje w

ktoży oceniają, decydują o wyborze kanadydatów do nagród.

Ale faktem jest, że przydadby się w waszej gromadzie telefon, oplewacz, radio i remont świetlicy.

Pisał do nas też soltyś, Makowiak, ze wsi Lubonia w podobnej sprawie. Ale on przedstawiał ją inaczej, niż wy, kol. Rypalski. On próbował nam wyjaśnić tajemnicę udanej akcji skupu i spłat należności finansowych. Jego bowiem gromada również wywiązała się ze wszystkich obowiązków w 100 procentach.

Cóż to za gromada? Nieduża, tylko 54 numerów (około 400 mieszkańców). Otóż ta gromada w okresie żniwnym zebrała na remont szkoły i zakup sprzętu szkolnego 6.000 zł. To są chłopskie pieniądze matro- i średniorolnych. Któż pobudził wieś do tej ofiarności, do tego twórczego czynu? „Ojciec” gromady, sam soltyś, Makowiak? Makowiak i tę tajemnicę wyjaśnia. Nie pracuje on sam. Ten zetperowiec opiera się o aktywny kole partyjnego, o aktywny ZSCH, ZMP i kole gospodyń.

A wy, kol. Rypalski, jakie zajmujecie w tej sprawie stanowisko? „Jestem już 4 lata soltysem, ale jeszcze nikt nie był pomoc w gromadzie, bo ja żadnej pomocy nie żądam od gminy, ani do partii, bo sam dam sobie radę w gromadzie, bo obywatel rozumie swoje obowiązki”.

Warto się zastanowić Wam, kol. Rypalski, i wielu innym soltyśom oraz aktywistom na gromadach, że przecież w wyniku takiej właśnie postawy... „z mojej gromady nie mam nikogo ani w przemyśle, ani w żadnym stanowisku w GRN”, w wyniku takiej postawy... „Przedsiębior GRN dosyć możliwe udziela swej pomocy po innych gromadach”. W wyniku, takiej postawy wszystkie kole i grupy u Was, kol. Rypalski, koncentrują swe kierownictwo.

A gromada, jak widać z aktywu skupu, jest w świadomości obywatelskiej wysoko zaawansowana. Każdy tam chłop indywidualnie stanowi dobry materiał do pracy społecznej. Ale żeby ją rozwinąć, trzeba otworzyć drogę dla aktywności społecznej kół i grup, trzeba ułatwić wysunięcie przodowników tych kół i grup.

Piszecie pięknie: „Jestem wdzięczny za moje stanowisko (soltyś) i chcę nadal pracować dla ojczyzny i nie dać się przełamać wrogom, spekulantom, kombinatorom wojennym, choć utrzymać pokój w Polsce Ludowej dla przyszłych pokoleń”. Ale czy wypełnicie te zadania po staremu? Czy nie wymagają one właśnie walki o rozszerzenie aktywu na gromadzie?

Odpowiedzieć nam, jak myślicie osiągnąć ten cel? Niechże w Waszych trudnościach wspomogać was głosy innych soltyśów i aktywistów na gromadach. Oczekujemy listów.

Piotr Chmura

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROL  
Redaguje Komitet  
Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska nr 12 tel. 752-50 Adres redakcji: Warszawa, ul. Stajankiewicza nr 7  
Prenumerata i kolportaż: P. P. K. „Ruch”. Oddział w Warszawie, ulica Sierbiańska 12 tel. 804-70 do 50  
Tel. Red. Nacz. 327-85 Tel. Redakcji 751-80 dod. wewnętrzny 91, 93  
REDAKCJA NIE ZAMÓWIŁYCH REKOPISÓW NIE ZWRACA  
Wpłaty na prenumeratę można dokonywać na Plac 3 Krzyży 16, Chmielna 25.  
Warunki prenumeraty:  
miesięcznie 3,— 21, kwartalnie 9,— półrocznie 18,— 21, rocznie 36,— 21.  
Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa I-6312-11 z zaznaczeniem „za tyg. „Wies”

RSW „PRASA”. Warszawa, Marszałkowska 3/5 2-B-46261